

# Kamena

LUBLIN

BIAŁYSTOK

KIELCE

RZESZÓW

CENA 2 ZŁ

LUBLIN 11.V. 1969 Nr 10 (417)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.

Zygmunt Mikulski

**G**DYBY mają nie było w kalendarzu, należało- by go stworzyć dla Dni Oświaty, Książki i Prasy. Żaden inny miesiąc nie daje tak trafnej scenografii dla przedstawienia dorobku określonego trzema rzeczownikami w nazwie tej imprezy. Przedstawiamy go przecież nie tylko w czterech ścianach choćby największej sali widowiskowej. Pora roku umożliwia wyjście „w plener” nieomal ze wszystkim, co się daje wyrazić ruchem, dźwiękiem, barwą, słowem. A nierzadko towarzyszy temu pochylona nad estradą gałązka kwitnącej wiśni, jak gdyby żywy ornament przydzielony przez naturę — sztuce.

Jest to okres wielkiej mobilizacji wszystkich placówek, zajmujących się upowszechnianiem kultury. Oczywiście, nie sama improvisacja dochodzi tu do głosu, poprzedza Dni szereg czynności przygotowawczych, ale w momencie puszczenia w ruch tej wielkiej maszyny nieodzowny się staje element energii i inicjatywy, niemal z reguły konieczny dla podolania w trakcie realizacji rosnącym zapotrzebowaniom. Dlatego można mówić i o egzaminie. O egzaminie składanym przez reszpy i jednostki z umiejętności dostosowania posiadanych kwalifikacji do życzeń odbiorców.

Dodajmy przy tym, że ta zadziwiająca impreza-gigant nie ma niczego z fasadowości. Czy za słowami tymi kryje się lakiernictwo? Niewykluczone: są pewne rozminienia i niedopasowania, nie każdy tryb się zazał, bywają i w Dniach potknięcia. Ale przecież nie tu nie jest wystawione na wyłączny pokaz, zainteresowanie imprezami Dni ma rzeczywiście coś z chwytania atrakcji, a jeśli nawet to i owo gdzieś nie dojdzie do skutku, to przecież na ich miejsce wprost wali się spiętrzenie nowych propozycji bogatego programu. Trzytygodniowe nonstop muzyki, tańca i poezji.

Te dożnyki kultury mają już swój autoritet. Pozostawiają nie tylko wspomnienia miłej zabawy, ale przede wszystkim zaczątek inicjatyw, czy choćby tylko postanowień, sprzyjających ożywieniu kulturalnemu danego ośrodka. W bieżącym roku będzie to tym widoczniejsze, że spłotło się ono z debatą nad programem wyborczym Frontu Jedności Narodu i podsumowaniem dorobku 25 lat Polskiej Ludowej. Wiosną i latem 1969 roku w naszym kraju mamy kalendarz polityczny zapisany gestem w pozycji każdego dnia. Będzie to do tym intensywniejszych wysiłków, tym pracowitszego zarabiania na własną satysfakcję, jeśli bilans działań zsumuje się pozytywnie.

I jeszcze o jednym przy Dniach Oświaty, Książki i Prasy trzeba wspomnieć. Forma upowszechniania kultury. Pewnie, że działając na tym polu to nie funkcjonariusz z urzędu, ale dopiero przy Dniach daje się zauważyć „odresortowanie”, „odinstytucjonalizowanie” kultury na rzecz w tym przypadku pożądanej spontaniczności. Nie instruktażem, nie służbową delegacją dociera się do klubów i świetlic. Wszystkie organizacje i placówki — cokolwiek wartościowe mają do zaprezentowania — ruszają na ten waganek trakt, ożywione jedną myślą: przynieść chociażby okrucie piękna, wiedzy, przekonania o pożytku wspólnie podejmowanej pracy.

I chyba to jest najistotniejsza cecha tego wiosennego karnawału, który rokrocznie urządzamy przy udziale tak możnego pomocnika, jakim jest rozkwit wiosenny.

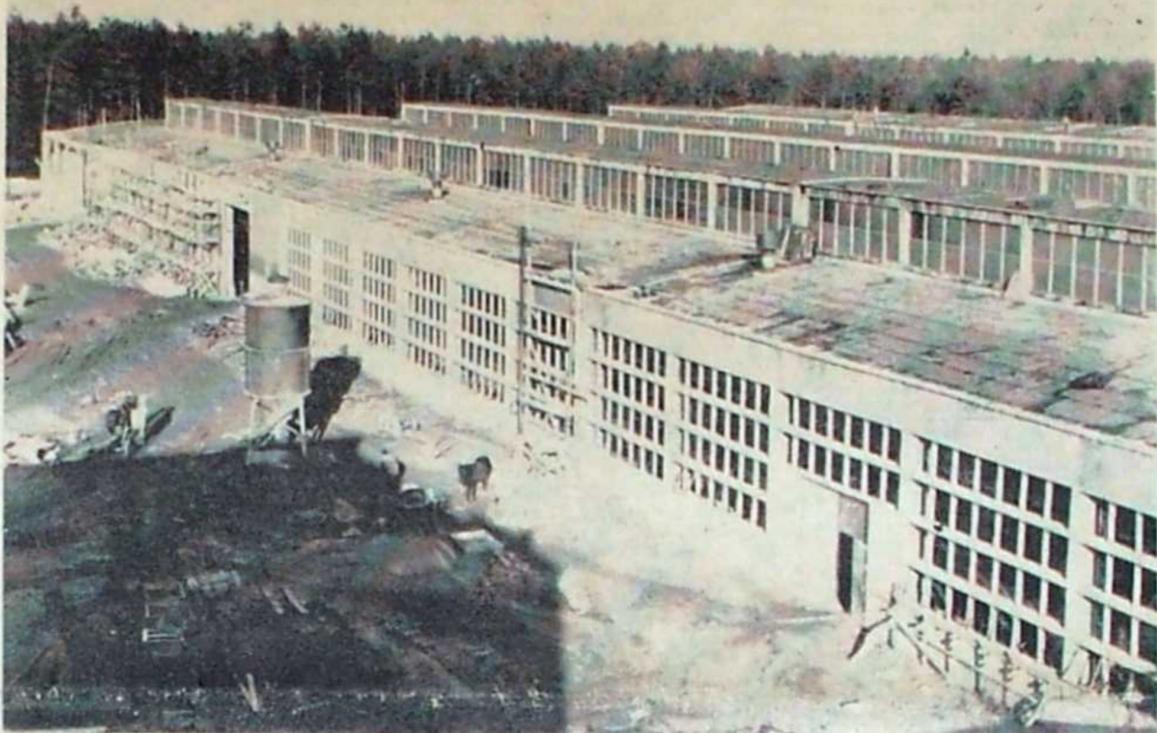
## Podróże przedwyborcze

# Krasny powiat

**N**IE pozbawieni fantazji historycy twierdzą, że nazwę swoją Krasnystaw zawdzięcza krasnemu czyli pięknemu stawowi, który kazał wykopać tuż koło Wieprza Kazimierz Wielki, aby wybudować tu zamek obronny, po którym dziś śladu już nie zostało. Może to i prawda. Ale całkowicie prawdą jest, że miejscowość ta prawa miejskie otrzymała zaledwie 80 lat później od Lublina, że w XVI, XVII i XVIII w. stąd właśnie zaczynał się spław do Gdańska. Najpierw drewna, bo Lubelszczyzna w większości była wtedy pokryta lasami, potem ziarna z wybudowanych tu specjalnie śpichrzy ordynacji Zamojskich.

Dzisiejszy Krasnystaw jest stolicą sąsiadującego z lubelskim powiatu, a równocześnie jakby dalekim przedmieściem samego Lublina. Ale zanim doszliśmy do tego stwierdzenia, zadaniem mojemu rozmówcy trudne, jak mi się wydawało, pytanie:

— Dzitony i nietypowy jest ten wasz powiat krasnostawski. Co roku zbiera tam tysiąc mieszkańców. Przyrost naturalny najniższy w Polsce leducie przekracza 2—2,2. Co jeszcze? Z 30 państw w Europie tylko NRD ma podobny wskaźnik.



Zakłady Ceramiki Sanitarnej w Krasnystawie

CAF — Tadeusz Smyk

Dokończenie na str. 5

**G**ORĄCO piekielnie, a ja w jesionce zimowej na solidnej wotolinie, żona zaopatrzyła, „na wszelki wypadek”, powiedziała, „bo nad morzem bryza chłodna wieje, zawsze, a jeszcze więcej wiosna”. Gdzie ona to wszystko wyczytała? Ocieram

kę zaszyła, bo „w hotelu jesioneczkę potną owady na sieczkę”.

Naprzód, panowie! Ktoś tam za nami przerywa frustrację i na trap wchodzić każe. Schodki pochyłe, wąskie, lecz pewne i oto korytarz ciepły brązowymi ścianami w górę prowadzi. I już tam, w tym korytarzu, powtórnie czuję posmak

O, Holendrzy to kupcy znakomici, wiedzieli, czym ucieszyć pasażera „Maasadamu” i budując ten turystyczny statek w 1952 r. w swej wielkiej stoczni Wilton — Fijenord w Schiedam, zaopatrzyli odpowiednio turbinowiec w punkty widokowo-kasacyjne.

Witają serdecznie. Ci w mundu-

tym statku, zwanym z angielska Lucky Ship.

Zasłużył na to szczęśliwe imię, przewożąc w czasie wojny angielskie dzieci do Australii, angielskie złoto do Kanady, angielskich żołnierzy na Sycylię i francuskiego generała do Francji. Dziś transportuje po Bałtyku co biedniejszych badylarzy, zlanionych widoków norweskich fiordów i męskiej przygody w sztormach i szkwałach. Z odległych lat chwaly pozostało trwałe miejsce w mitologii narodowej, tablica w hallu z wykreślonym szlakiem bojowym i stary portret króla. A tutaj elegancka kopia, choć miał być ów talizman:

Choć statek piękniejszy i większy, Wszystko białą dziewiczą lśni

na nim, Lecz niejeden zapewne zatęskni, Za starym, strudżonym i znanym. Marynarzom przywykłym do

Z tą tęsknotą na sercu — czy ciężko?

Portret króla wszak na nim pozostał, I wspomnienia zostały — a reszta!

Czytam tekst ulotki porwanej ze stolika pośpiesznie, bo zapraszają na

Dokończenie na str. 4

# Rejs po biografii

Ireneusz J. Kamiński

pot z czoła i obmyślam zemstę. A tu nagle temperatura jeszcze wyższa się robi, gorąco koło serca i w dołku zaciska, bo widzę statek wielki i elegancki, przylatujący wytwornym polyskiem bieli i czerni. Wciągam głęboko powietrze, może zniży się do mnie swojskim zapachem farby czy dymu — Lublin miasto przemysłowe — ale nie, nie czuję, poza ostrą wonią molotowu — żona gospodarna kulek kilka przed wyjazdem za podszew-

wielkiego śwista, jego stateczność i bogactwo, i dostojność aksamitno-nylonową, choć nie wiem właściwie, dlaczego i skąd takie wrażenie; może to ciepło i lekko blizczące ściany z solidnego drewna, spotykające się na dole z miękkim dywanikiem. Hall wreszcie, bo nie wymagacie ode mnie nazw innych, jak lądowe. A w tym hallu sklepik oszklony z czerwienią papierosów zagranicznych i butelek baterią różnokolorową, i coś tam jeszcze.

rach i ci w garniturach. Raz, dwa, pięć, dziesięć uścisków i dłoń moja zatrzymuje się przed wysokim jęgomościem w czerwonym płaszczu, który patrzy gdzieś w bok, nie dostrzegając życzliwego w jesionce (z molotowem). Więc cofam się nieco, obejmując wzrokiem całą dostojną postać Stefana Batorego. Obraz bliższy świeżą farbą. Tak, jak wszystko dookoła. Kopia, znakomita kopia tego, który pozostał na tam-

# Sztuka bliżej ale czy blisko?

Tadeusz Robak

**B**YLA to wyprawa dająca do myślenia: zorganizowano dziennikarzom objazd zakładów pracy, by zademonstrować starania o estetyczny, ba — artystyczny kształt produkowanych przedmiotów. W jednej fabryce pokazano walce drogowe projektowane przez wybitnego rzeźbiarza, w innej dyrektor gęsto się tłumaczył, że jednak przy projektowaniu maszyn elektronicznych ważniejsza jest ich funkcja niż walory plastyczne, w trzeciej zatrudnieni tam plastycy bardzo się oburzał, że przy produkcji eksportowej przyjmują się żądania zamawiającego, jakiegoś włoskiego kupca o złym guście, a lekceważył opinię ich, fachowców od piękna, w czwartej z kolei domagano się objęcia prawem autorskim również tych wszystkich odkurzaczy i radiodiodników, stanowiących, jak podkreślano, indywidualny dorobek twórcy. Wszystko to odbywało się w

tonie śmiertelnie poważnym, nikomu nawet już na myśl nie przyszło podważać reguły tej gry. A więc sztuka aż tak gwałtownie awansowała w świadomości społeczeństwa, wtargnęła wszędzie, nawet w dziedzinie, o których wczorajsi artyści nie marzyli?

W tym przypadku jest zresztą nawet obojętne, czy mamy tu do czynienia rzeczywiście ze sztuką, czy ze zjawiskami z jej pogranicza — ważna jest rola, jaką stała się temu ze spólności problemów przypisuje, ważny jest zasięg, miejsce, akceptacja tego rodzaju potrzeb, przecież coraz powszechniejsze. Słyszysz się o „osaczeniu przez sztukę” w współczesnej cywilizacji, obserwować można coraz większą dostępność różnorodnych dzieł sztuki, nawet jeśli w formie zwulgaryzowanej, uproszczonej przez środki masowego przekazu, to przecież występujących pod tą samą, dawną etykietą, korzystających z wyrobionej przez wieki, a teraz spopularyzowanej frazeologii. Na-

kładają się tu dwie tendencje: powszechna we wszystkich krajach o rozwiniętej cywilizacji technicznej potrzeba jakiegoś wypełniania coraz większej ilości wolnego czasu, dostarczania nowych, atrakcyjnych i wartościowych w przekonananiu odbiorcy form rozrywki i — powiedzmy — wewnętrznego bogacenia, i druga, będąca, szczególnie w krajach socjalistycznych, rezultatem świadomej działalności społecznej, zmierzającej do uczynienia własnością jak najszerszych grup odbiorców tego wszystkiego, co w dorobku artystycznym ludzkości wartościowe.

Skutki są widoczne gołym okiem: dostępność muzyki, teatru czy dzieł plastycznych, jaka stała się udziałem społeczeństwa dzisiaj — wskutek aktywności radia, kina, telewizji, przemysłu płytowego i poligraficznego, w zakresie reprodukcji czy masowych nakładów literatury, ale przecież nie tylko dzięki temu, także w efekcie większej ruchliwości tu-

rystycznej i zawodowej mas ludzkiej — jest absolutnie nieporównywalna z sytuacją sprzed lat kilkudziesięciu, gdy dostęp do dzieł sztuki był ograniczony do pewnych grup społecznych, nie zorganizowany i kosztowny. Te oczywiście prawdy przestają być już takie oczywiste, gdy przejdziemy na grunt ich innych rezultatów, wobec jakościowych świadomości poszczególnego indywidualium, gdy zastanowimy się, jakie spowodowało to zmiany w sposobie przyswajania wartości artystycznych, korzystania z nich. Natłok propozycji — a zatem możliwość szerokiego wyboru; co się jednak wybiera, czy istotnie rzeczy trudniejsze i wartościowsze? Bogactwo możliwości — a zatem decyzja oddana w ręce samego konsumenta; minęły czasy, gdy każde przedstawienie teatru objazdowego chłonęło było z nabożną czcią, bo przecież

Dokończenie na str. 10



# Jak pracowała lubelska MRN

Ryszard Dunin

**G**DY przed czterema laty Miejski Komitet Frontu Jedności Narodu w Lublinie uchwałił program wyborczy, miasto liczyło 206 tys. mieszkańców. Demografowie i urbanisci liczyli się wtedy z dalszym wzrostem miasta, ale mało kto przypuszczał, że w ciągu tych czterech lat przybędzie nam aż 40 tysięcy nowych obywateli. Przypominając, że tuż przed wojną Lublin miał 122 tys. mieszkańców, a tuż po wojnie tylko 84 tys. — wypadnie stwierdzić, że w okresie powojennego ćwierćwiecza miasto rozrosło się trzykrotnie. I jeżeli przed wojną mówiono, że Lublin to największa wieś w Polsce, to dzisiaj należy on do 10 największych miast w kraju.

Zwiększała się zresztą nie tylko liczba ludności, ale również, a nawet w jeszcze większym stopniu, powierzchnia miasta — z 340 ha przed wojną do 9300 ha obecnie. Oczywiście, nie chodziło tu o sztuczne powiększanie obszaru miasta — ale te tysiące hektarów były konieczne dla wybudowania nowych dzielnic mieszkaniowych, przemysłowych czy uczelnianych, a także przygotowywania terenów pod dalszą rozbudowę.

Mimo wielu kłopotów, jakie sprawiał nam i nadal sprawia tzw. wyciek demograficzny, cieszymy się przecież, że jesteśmy narodem ludzi młodych, a więc narodem o dużej przyszłości. Tę młodzież widać w naszym mieście na każdym kroku. W szkołach podstawowych i średnich uczy się 60 tys. młodzieży, na wyższych uczelniach ponad 15 tys. Trzeba tu chyba podkreślić, że w ciągu ostatnich czterech lat przybyło nam ponad 4 tysiące studentów. Świadczy to, że poziom wykształcenia naszego społeczeństwa stale się podnosi, że i w tej dziedzinie odrabiamy zaległości poprzednich okresów.

Wszystko to niewątpliwie cieszy i napawa optymizmem na przyszłość. Nie zmienia to faktu, iż tak gwałtowny rozwój miasta stwarzał w tym okresie dla kończącej już kadencję Miejskiej Rady Narodowej wiele skomplikowanych problemów. Zarówno w zaspokajaniu aktualnych potrzeb mieszkańców jak i tworzeniu warunków, aby w przyszłości mogły one być zaspokajane jeszcze lepiej, bardziej wszechstronnie. Tej właśnie per-

spektywie zarówno cała MRN jak i jej Prezydium poświęciło wiele uwagi, starając się nie tylko pogodzić, ale i na trwałe związać sprawy dnia dzisiejszego z perspektywą rozwojową.

Tak więc chyba jednym z podstawowych osiągnięć obecnej MRN jest zatwierdzenie wieloletniego programu zagospodarowania przestrzennego miasta. W wyniku gwałtownej urbanizacji jak i szybkiego rozwoju przemysłu było rzeczą konieczną ustalenie kierunków rozwojowych zarówno całego miasta jak i jego dzielnic, a nawet tworzenie dzielnic nowych o określonych w całym organizmie miejskim funkcjach — mieszkaniowej, przemysłowej, magazynowej, handlowej czy innych.

Szczególnie pilne było rozwiązanie spraw przemysłu. Wartość jego produkcji w ciągu czterech lat wzrosła o 33 proc., osiągając w roku ub. 13 miliardów zł, co stanowiło 40 proc. wartości produkcji całego województwa. We wszystkich gałęziach gospodarki społecznej pracuje już 109 tys. osób. Dynamika wzrostu obu wskaźników była zawsze wysoka, będzie taka i nadal. Stąd też wydzielono dzielnice, w których będzie lokalizowany nowy przemysł, bądź do których będzie się przenosiło stare fabryki po dekapitalizacji starych budynków, a równocześnie wyznaczono rejon mieszkalny, które — po uwzględnieniu warunków topograficznych, mikroklimatu, możliwości komunikacyjnych itp. — stworzą mieszkańcom możliwie najlepsze warunki życia. Opracowano plan zabudowy centrum handlowo-usługowego w śródmieściu, jak również podobne ośrodki o charakterze lokalnym, podejmuje się już realizację planu, zgodnie z którym Stare Miasto stanie się ośrodkiem, skupiającym instytucje kulturalne, usługowe i turystyczne.

Ten sam program perspektywiczny przewidywał także powstanie odpowiedniej bazy materialnej dla kultury i oświaty. W dziedzinie kulturalnej chodziło zarówno o centralne ośrodki: teatralny, widowiskowy i kinowy, jak i o dzielnicowe lub osiedlowe placówki upowszechniania kultury. Szkolnictwu — zarówno wyższemu jak średniemu i podstawowemu — stworzono szerokie możliwości rozwoju, zapewniając odpowiednio tereny dla

potrzeb, i bieżących, i perspektywicznych.

Jedną z bardzo trudnych, a jeszcze nie skończonych prac jest generalna przebudowa różnych urządzeń gospodarki komunalnej. Doprowadzenie do Lublina gazu ziemnego jak i przebudowa starej elektrowni na ciepłownię to może najbardziej widoczne osiągnięcia. Inne prace może nawet na co dzień nam przeszkadzają, ale ich wykonanie jest konieczne, jeżeli Lublin ma stać się rzeczywiście ośrodkiem wielkomiejskim o dużym znaczeniu gospodarczym i społeczno-kulturalnym. Chodzi o generalną przebudowę starych, niewystarczających już sieci wodociągowych, kanalizacyjnych i burzowych, jak również objęcie tymi urządzeniami dzielnic nowo powstających, jak również stworzenie rezerw na przyszłość. Stąd czasem narzekania na tzw. wykopki, które jednak są konieczne, jeżeli życie miasta ma toczyć się normalnie.

Uchwalony w 1965 roku program wyborczy, opracowany przez MK FJN i uzupełniony postulatami wyborców, stawiał przed Miejską Radą Narodową i jej organami wykonawczymi szereg zadań konkretnych ze wszystkich dziedzin życia. Nie tu miejsce, aby je dokładnie referować, aby przytaczać dziesiątki liczb, ilustrujących zamierzenia i realizację. Ogólnie jednak trzeba stwierdzić, że zadania zostały wykonane pomyślnie, w wielu dziedzinach przekroczone, a nie zostały wykonane tylko w budownictwie mieszkaniowym.

Bieżący plan pięcioletni przewiduje wybudowanie w Lublinie 32 tysięcy izb mieszkalnych — w ciągu trzech lat przekazano do użytku 21 240 izb. Jest to dużo; tak wielkiego przyrostu Lublin nigdy jeszcze w swoich kronikach nie notował. A jednak plan pięcioletni został dotychczas wykonany tylko w 66,3 proc i trzeba sobie jasno powiedzieć, że do końca pięcioletnia braku nie zostaną odrobione. Sytuacja taka powstała przede wszystkim w wyniku niedostatecznej mocy przerobowej przedsiębiorstw budowlanych, trochę z powodu braku niektórych materiałów budowlanych. Niezależnie jednak od tego niektóre nasze przedsiębiorstwa budowlane wykazały niedowład organizacyjny i niewystarczające przygotowanie techniczne do realizacji trudnych wprawdzie, ale przecież



Osiedle „Kalinowszczyzna” w Lublinie

CAF — J. Huzar

możliwych do realizacji zadań. Osiągnięcie radykalnej poprawy w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego to jedno z najpilniejszych zadań przyszłej Miejskiej Rady Narodowej.

W latach 1966—68 wartość wszystkich inwestycji w mieście przekroczyła miliard złotych. Jakże się tego wyniki, niech świadczy chociażby garść liczb z różnych dziedzin naszego życia.

A więc wybudowano — niezależnie od owych 21 tys. izb mieszkalnych — 6 szkół podstawowych i dwa przedszkola, 35 km nowych ulic, 35 km wodociągów, 46 km sieci sanitarnej, 7 km sieci burzowej, odremontowano ponad 400 budynków i 21 km ulic, do gazu ziemnego przyłączono 9 tysięcy odbiorców. Wybudowano 2 przychodnie rejonowe, uruchomiono przychodnię dla studentów oraz dwie poradnie specjalistyczne, znacznie rozbudowano szpital miejski, a przychodnia przemysłowa obejmuje opieką już 68 tys. pracowników.

Lublin otrzymał wreszcie Miejski Dom Kultury, młodzież szkół artystycznych internet, liczba miejsc w kinach wzrosła do 5740, w stu zespołach artystycznych dla dorosłych pracuje 2 tys. osób, zespoły i kółka zainteresowań dzieci i młodzieży gromadzą 5 tys. Oddano do użytku najpiękniejszą halę sportową, ostatnio basen zimowy, ponadto w innych punktach miasta 2 sale gimnastyczne. Istnieje w mieście 115 ognisk TKKF, 72 szkolne koła sportowe, 27 różnych klu-

bów sportowych. Tylko w roku ubiegłym przybyło do Lublina 2300 wycieczek turystycznych z całego kraju, ponadto 172 wycieczki zagraniczne. Przybyło miastu 278 punktów usługowych, 38 sklepów i 6 placówek gastronomicznych. Obrót handlu w ciągu czterech lat wzrosł o prawie miliard zł. Społeczeństwo wykazało nie notowaną w poprzednich kadencjach aktywność, czego wyrazem był wzrost wartości czynów społecznych, uzupełniających inwestycje planu gospodarczego — wartość ich wyniosła 43 mln zł.

No i kilka słów o samej Radzie. Wzrósł niewątpliwie autorytet MRN, jej rola uchwalodawcza i kontrolna. Konwent Seniorów, kluby radnych i komisje problemowe miały ponad 400 posiedzeń, odbyło się 1270 spotkań radnych z wyborcami. Prezydium MRN odbyło 140 posiedzeń, podejmując 802 uchwały. Członkowie Prezydium w ramach skarg i zażaleń przyjęli 3180 mieszkańców miasta — i warto tu podkreślić, że tych skarg i zażaleń było o połowę mniej niż w poprzedniej kadencji.

Tak wygląda pobieżny bilans działalności kończącej kadencję Miejskiej Rady Narodowej w Lublinie. Oczywiście, życie nieraz wyprzedzało program wyborczy i nie wszystkie pilne potrzeby mieszkańców miasta mogły być zaspokojone. Stąd też przed przyszłą Radą stoją równie poważne, a może jeszcze ważniejsze zadania niż przed ustępującą.

Miroslaw Derecki

# Czas bezrobocia

Robotnicy Lublina



Tadeusz Gwizdek

CAF — M. Targoński

**D**ZISIAJ młodzi mają szansę do nauki. A my co mieliśmy? Ja na przykład szkołę powszechną mogłem skończyć dopiero w Polsce Ludowej, miałem już wtedy czterdzieści dziewięć lat i syna, co właśnie robił maturę.

Ja po pierwszej wojnie światowej chodziłem do takiej szkoły dla robotniczych dzieci, mieszkała się ona w jakiejś starej ruderze w okolicach dzisiejszej ulicy Armii Czerwonej i było wazystkiego pięć klas. A jak by nawet było siedem, to i tak bym ich nie mógł skończyć, bo wtedy, proszę pana, stypendiów nie dawali i trzeba było jak najwcześniej chwycić się za jakąś robotę, żeby pomóc ojcu i matce. Jako kilkunastoletni chłopak zostałem lakiernikiem i cieszyłem się, że mam stałą pracę, bo wtedy o pracę było trudno. A potem przyszło bezrobocie, potem wybuchła wojna, potem trzeba było fabrykę uruchamiać, gdzie człowiek miał czas na książki? Ale, wie pan, to nurtuje. Ta nauka. Patrząc — syn do gimnazjum chodził, ty go popędzasz, żeby nie bomblował, żeby się do nauki brał, a sam nawet powszechniaka nie skończyłeś...

Więc jak w 1955 r. przeczytałem w gazecie artykuł: „Na naukę nigdy nie jest za późno”, pomyślałem: znaczy nie jesteś jeszcze taki stary, spróbuj, co ci szkodzi. I poszedłem do szkoły wieczorowej, do kierowniczk, ale się trochę wstydzilem, bo gdzie, w moim wieku... A ona, ta kierowniczk, śmieje się i mówi: co pan, u nas nie tacy się uczą, pan by mógł jeszcze o maturze i studiach pomyśleć... Wolne żarty, myślę sobie, ale koniec końców — zapisałem się...

No i co pan powie? Jakbym się odmłodził. Teczka, proszę pana, ciapy obowiązkowo trzeba ze sobą nosić, zeszyty obkładać, zupełnie jak jakiś uczeń... Pięciu nas było w klasie najstarszych: ja i czterech sierzantów z KBW, jeden miał brzech taki, że się w ławce nie mieścił, to żeśmy się z niego nabijali. Jak młode chłopaki. Ale wszyscy trzymaliśmy sztamę i teraz jeszcze nieraz się spotykamy. Polski, historia, geografia szły mi dobrze, ale z

rachunkami było gorzej. Więc syn mi pomagał odrabiać lekcje.

Latwo nie było. Niech pan weźmie pod uwagę: ze szkoły przychodziło się o dziesiątej wieczorem, jadło kolację i często zaraz potem trzeba było iść do roboty na nocną zmianę. A w pracy zaraz: „panie brygadziście — to, panie brygadziście — tamto”; ja tu muszę sam pracować, innym pomagać, a po głowie cały czas mi chodził, że na jutro mam się nauczyć na pamięć wiersza „Lebied, rak i szczurka”... No, powiadam, ciężko było. Ale się, proszę pana, zawzięłem i szkołę skończyłem. Z wyróżnieniem.

Tak mówi Tadeusz Gwizdek, malarz-lakiernik z zawodu, strażak z zamiłowania, dzisiaj kierownik ochrony przeciwpożarowej w Lubelskiej Fabryce Wag.

Urodził się w 1907 roku na przedmieściu Zagrody w Lubartowie, choć właściwie z dziada pradziada jest lubliniakiem. Ale akurat wtedy ojciec, cieśla, znalazł dorywczą pracę w Lubartowie i tam również przeniosła się na krótko matka z córkami. Potem w Lublinie przyszły jakby lepsze czasy.

Mieszkał na Bronowicach. W dzielnicy robotniczej, ubogiej. Kolejno zajmowali mieszkania w niewielkich drewnianych domkach przy błotnistych uliczkach — Wesolej, Składowej, Zgodnej. Ani to była wieś, ani miasto. Ludzie w ogródkach hodowali kartofle i kapustę, w pobliżu rolnicy siali żyto, horyzont zamykała łamana linia dachów Starego Miasta z wybijającym się ostrym szpicem Bramy Trynitarskiej. Przy drodze wiodącej do miasta stała fabryka. Produkowano tutaj maszyny rolnicze. Właścicielem był Wacław Moritz.

W tej fabryce udało się dostać pracę kilkunastoletniemu chłopakowi z Bronowic, Tadeuszowi Gwizdekowi, kandydatowi do zawodu malarza-lakiernika. Był rok 1923. Przez następną sześć lat Tadeusz Gwizdek oddawał rano na portierni swoją „markę” oznaczoną numerem 392 i udawał się do oddziału, nad którym pieczę sprawował mistrz Antoni Steplowski, pracownik doświadczony i wymagający, co

jeszcze za cara prowadził własny zakład malarzki, a potem, gdy czasy zmieniły się na gorsze, dożywał starości w fabryce Moritza, przygotowując szczipie „młode kadry”. W tejże fabryce uczeń Tadeusz Gwizdek został w 1927 r. „wyzwolony przez Zarząd Fabryki na robotnika malarzkiego”.

W 1929 r. Gwizdka powołano do służby wojskowej. Gdy po jej odbyciu powrócił do Lublina, okazało się, że jego ugrunтовana już — jak mu się zdawało — pozycja życiowa zalamana się. Pracy nie otrzymał.

W czasie, gdy był w wojsku, lubelski przemysł zaczął wchodzić w stadium ostrego kryzysu. Zamykano fabryczki i zakłady pracy, przeprowadzano redukcje robotników. W Lublinie rozpoczął się wieloletni okres bezrobocia, nędy klasy robotniczej, strajków oraz manifestacji bezrobotnych. W lutym 1931 r. w Lublinie było cztery tysiące bezrobotnych, w lutym 1934 już prawie siedem tysięcy. W miesiącach letnich wprowadzie liczba ich zmniejszała się, bo przychodziły tzw. „roboty sezonowe”, ale zima, a więc w okresie najcięższym do przetrwania, statystyki znowu rosły w sposób zawrotny.

31 grudnia 1930 roku do kierownika Zarządu Miejskiego zgłosiła się grupa kobiet, żon bezrobotnych, z prośbą o wypłacenie im zapomogi na życie. Otrzymały odpowiedź negatywną, kobiety pomaszowały pod Trybunał, gdzie mielić się Wydział Opieki Społecznej. Zgromadziło się tam już ok. 500 bezrobotnych. I tutaj naczelnik Wydziału dał odpowiedź odmowną. Jeszcze przez pewien czas panował spokój i porządek. Zgromadzeni wyłonili pięcioosobową delegację, która udała się do Państwowego Urzędu Pośrednictwa Pracy. Tam poinformowano ją, że zasiłki zostaną wypłacone nie wcześniej niż 4 stycznia. Wtedy rozgorączkowany tłum wdął się do gmachu Trybunału. Sytuacja

Dokończenie na str. 7

**N**AWET okupacja hitlerowska nie mogła nas w pełni pozbawić tego momentu podniosłości, tych wzruszeń, które przeżywa każdy uczeń kończący rok szkolny. Jeśli dodam do tego, że kończyliśmy nie tylko rok szkolny, lecz w ogóle szkołę, to podniosłość ta, która w nas, ubranych w ciemny garniturek, po raz pierwszy prezentował krawatki wypożyczoną na ten dzień od ojca, łatwo zrozumieć nasze wzruszenie. Przyczyniała je niepewność losu. Teren, na którym wypadło nam żyć i z pozornie łaski okupanta skończyć szkołę, był najzupełniej pozbawiony swego oblicza. Na ulicach miasta panowała się faszystowska policja, na porządku dziennym były aresztowania i rozstrzelania. Olkusz narwany został Ikenau, a sztuczna granica oddzieliła go od równie sztucznego tworu, jakim była Generalna Gubernia.

Rozpoczęliśmy ten rok szkolny 1940/41 z pełną świadomością terrorku. Nie oszczędzono nam wrażeń i widoków, mogących doprowadzić do depresji nawet dorosłych ludzi. Na naszych oczach powieszony został nauczyciel języka niemieckiego, Niemiec antyfaszysta, Bruno Hinz, aresztowano w klasie profesora historii, Stanisława Wiatrowskiego, o którym wszelki słuch zaginął, kazano nam być świadkami krwawej środy olkuskiej. Ale zarazem okupant uczył nas milczenia i wytwarzał między nami więź, pozwalającą porozumiewać się bez słów.

Garnąc się do nauki i rozumiejąc jej przydatność w życiu, bojkotowaliśmy w dostępny nam sposób zajęcia praktyczne, byle tylko nie wykonywać bądź opóźnić wykonanie poleceń niemieckiego kierownictwa technicznego. Nie było w tym roku dalekich wycieczek na Pustynię Błędowską, gdzie krajobraz garbił się w monotonne wydmy, upodabniając się do lekko wzburzonego morza, nie odbyła się ani jedna zabawa, ani jeden mecz piłki nożnej, ba — skończyły się nawet draki z chłopcami z gimnazjum ogólnokształcącego, choćby z tego powodu, że je zamknięto, a budynek zajęła żandarmeria. Tylko szkołę rzemieślniczą tolerowali Niemcy, przy czym warto dodać, że mieli w tym swój cel.

Więc choć ten rok szkolny był taki trudny, a może właśnie dlatego, nie dziwcie się naszemu wzruszeniu. Siadaliśmy w ławkach bardziej wżrżali niż nasi poprzednicy, przedwcześnie zarażeni obawą o przyszłość.

— Nie podoba mi się tutaj — powiedziałem cicho do Bronka Kocjana, mego najserdeczniejszego przyjaciela. Z wioski, odległej o dwadzieścia kilometrów od Olkusza, potrafił on codziennie przyjeżdżać do szkoły na rowerze i nie mógł mu w tym przeszkodzić ani upał, ani mróz.

— I mnie się nie podoba, ale na świadectwo warto czekać.

— Pryskajmy — upierałem się.

— Na to zawsze będzie czas.

Na salę wszedł dyrektor szkoły, inżynier Majewski. Był to czerstwy, niski staruszek. Przez długie lata rządził szkołą żelazną ręką i doprowadził do tego, że nawet w czasach bezrobocia jej absolwenci znajdowali zatrudnienie w Zagłębiu, w COP-ie, albo trafiali do szkół lotniczych. Teraz ujrzelśmy człowieka z niedołężnego. Hitlerowcy pozostawili go wprawdzie na stanowisku dyrektora, ba, nawet zagrozili mu aresztowaniem, gdyby odmówił przyjęcia tego stanowiska, lecz otoczyli go zgrają niedouczonej a rozpolitykowanej brunatnych koszul. Nie mógł prowadzić własnych zamierzeń dydaktycznych

i wychowawczych, o niczym nie decydował samodzielnie, by tylko figurą utrzymywaną na pokaz.

— Żegnając was na nową drogę życia... życzę wam dużo szczęścia... bo tylko szczęście... to jest rozsądek i szczęście...

Takiego „dyra” widzieliśmy po raz pierwszy. Niejedno pokolenie wysłał w świat, niejedno wygłosił przemówienie. Skąd więc to?

W sali zapanowało chwilowe poruszenie i prawie natychmiast zaległa absolutna cisza. Przerwał ją zastępca dyrektora, hitlerowiec ubrany w żółty mundur. Wrzasnął coś, czego przy ówczesnej znajomości języka niemieckiego nikt z nas nie był w stanie zrozumieć.

— Świadectwa będą wydane później. Teraz w dwusobowej zbiórka — powtórzył tłumacz. To było coś nieoczekiwanego. Wymieniłem z Bronkiem szybkie spojrzenia.

— Trzymajmy się razem — zdążyłem mu szepnąć.

— Nie rozmawiaj! Nie rozmawiaj!

Na salę wpadło kilkunastu policjantów niemieckich.

— Szybciej! Szybciej, osły!

Krzyk. Poszturchiwania. Uderzenia. Schnell, schnell. Pojedynczo wypadliśmy z sali kułając głowy w ramionach po to tylko, aby tuż na placu szkolnym wpaść w łapy innych policjantów.

Kiedy ustawiono nas czwórkami, dokładnie zapisano i policzono, padła komenda. Kolumna ponad stu dwudziestu chłopców drgnęła, ruszyła naprzód. Kierunek wskazywał zastępca dyrektora. Szedł z dumnie podniesioną głową, walł buciurami o bruk, jak gdyby z tego bezmyślnego wysiłku czerpał poczucie swojej ważności.

Tu i ówdzie za nędznymi ogrodzeniami kamiennych olkuskich domów stali ludzie. Wiadło o uprowadzeniu całej szkoły wyprzedziła nasza kolumnę. Nim dotarliśmy do stacji kolejowej, już towarzyszył nam tłum lamentujących matek. Zamknąłem oczy, by nie pokazać po sobie słabości, ścisnąłem dłoń Bronka.

— Mówiłem: pryskajmy, mówiłem...

— Jeszcze nic straconego! Może się uda na dworcę? — Broniek pocieszał mnie i sobie dodawał otuchy. Gdy podniosłem na niego wzrok, ujrzałem jego oczy pełne łez.

Niemiecka policja z cechującą ją bezwzględnością usunęła z dworca wszystkich podróżnych. Dopiero w klasnej poczekalni pozwolono nam rozluźnić szeregi i rozmawiać. Niektórzy byli zdania, że z okazji zakończenia roku szkolnego władze niemieckie urządziły nam wycieczkę do śląskich zakładów przemysłowych, inni pociesza-

li się wzajemnie, że za chwilę zostaniemy zwolnieni, większość jednak przeczuwała prawdę.

— Porwali za młodu — przypomniał ktoś tytuł znanej książki i po chwili to powiedzenie było na ustach wszystkich. Nie ulegało wątpliwości, że taka a nie inna jest prawda.

Przed nami były długie godziny oczekiwania, podczas których na nowo poznałem moich kolegów. Widziałem przecież, że Adaś Aksamit nigdy nie grzeszył odwagą, nie brał udziału w żadnych awanturach. Teraz stał oparty o parapet olens, bez jednej łzy w oczach, i coś szepetem tłumaczył najbliższemu. W ciężkich chwilach takich ludzie wybierają na dowódców. Znałem Janka Krawca, zabijając nie mającego przeciwników na żadnym z czterech lat nauki. Siedział w kącie poczekalni i darł na siebie granatową marynarkę pokrzykując coś bez związku. Broniek trzymał się dobrze, mnie również

przeszła chwilowa słabość. Być może, jeszcze nie zdawałem sobie sprawy z ogromu naszego nieszczęścia.

— Masz coś do zjedzenia? — zapytałem Bronka.

— Skąd?

— Pięć mi się chce.

— Wytrzymamy.

W ciągu długich lat okupacji niejednokrotnie doświadczałem, co to pragnienie, nigdy jednak nie cierpiełem tak, jak tego pierwszego dnia. Być może, wynikało to z braku odporności, a być może był to pierwszy młodzieńczy bunt przeciw traktowaniu nas jak zwierzęta.

Minęło kilka godzin nim trzasnęły odmykane drzwi. Tym razem do poczekalni weszli urzędnicy hitlerowskiego urzędu pracy. Kilku z nich mówiło dobrze po polsku. O dziwo, byli uprzejmi. Wytlumaczyli, że w trosce o naszą przyszłość załatwili nam skierowania do pracy, że w niemieckich fabrykach, słynących przecież na cały świat z bardzo dobrej organizacji i wysokiego poziomu technicznego, podwyższymy swoje kwalifikacje.

— My chcemy do domu — powiedział Aksamit. — Po naradzie z rodzicami każdy z nas chętnie się zgodzi na wyjazd.

— Rodzice nie są wam potrzebni. My załatwimy wszystkie wasze potrzeby.

— Chcemy się przynajmniej pożegnać.

— I to niepotrzebne. Rodziców zawiadomimy listownie, po półrocznej pracy każdy otrzyma urlop, przyjedzie wtedy do domu z pełnym poczuciem swej ważności, z zegarkiem na ręce i forszą w kieszeni.

— Chcemy do ubikacji — Broniek wystąpił do przodu i pociągnął mnie za sobą.

— Ja też.

— Ja też.

Zgłosili się niemal wszyscy. Plan Bronka był prosty, niestety, naiwny. Podczas wieczornych wędrowek po mieście poznaliśmy dobrze dworzec kolejowy. Znalazliśmy kąpielnię, każdą dziurę w płocie. Jeśli wyjdziemy się z poczekalni, można będzie dać nura między nędzne pomieszczenia magazynowe i znaleźć drogę do wolności.

— Wszyscy chcecie? — zapytał słodki urzędnik. — Dobrze.

Powiedział kilka słów po niemiecku, jeden z jego współpracowników wyszedł, a po chwili wrócił z kilkoma policjantami.

— Który z was wychodzi pierwszy?

— My. — Zbliżyliśmy się do drzwi i wtedy

mocne uderzenie kolbami odrzuciło nas na kłódek poczekalni.

— Kto następny? — śmiały się Niemcy.

Chętnych nie było. Znow zbieł w kromkę słuchaliśmy wyroków, jakie na nas zapadły.

— Adam Aksamit, jest? Odpowiadaj głośno i wyraźnie: „Jestem”

— Jestem.

— Stefan Bandyra?

— Jestem.

— Formować się pod tamtą ścianą.

— Jan Bednarz?

— Józef Cieślak?

W miarę jak ubywało nazwisk na liście, wydłużał się szereg pod ścianą. Nie było dla nas ratunku.

A jednak w tej doskonałej hitlerowskiej maszynie były jakieś luki. Najprędzszym i najpewniejszym sposobem przeniknięcia przez nie były łapówki. Faszystowski urzędnicy byli czujni i uważni, ale tylko do pewnych granic określonych setkami marek czy tysiącami złotych. Dalej ich czujność nie sięgała. Mogliśmy przekonać się o tym naocznie. W pewnej chwili do poczekalni wszedł policjant i najbardziej wrzaskliwie zawołał:

— Ist hier Krawiec?

— Jestem.

— Raus...

Widzieliśmy przez okno jak wprost z drzwi wpadł w ramiona matki. Niby nie, niby dobrze, że choć jeden z nas uniknie porwania, a jednak pozostało uczucie niesmaku.

Było późne popołudnie, gdy rozmieszczone nas w wagonach towarowych. Drewniane ławy, zakratowane okna. Głucho trzasnęły zasuwane drzwi.

— Nie dadzą nam nic do jedzenia ani do picia? — zapytał ktoś lękliwie.

— Jak będą chcieli — powiedziałem ze złością. Sam byłem głodny jak dorastający szczeniak, coś trzymało mnie za gardło, a ja trzymałem się okiennej kraty i spoglądałem na wąski wycinek miasta. Za płataniną torów widziałem zabudowania fabryki naczyni emaliowanych, a bliżej, nie dalej niż rzut kamieniem — drogę. Po zamknięciu wagonów policja osłabiła nieco swą czujność. Chodziliśmy wprawdzie wzdłuż pociągu warty, ale ujrzałem także kilku kolejarzy.

— Panowie, dokąd nas wiozą? — pytałem.

— Do Niemiec. Ten skład wyprawiamy na razie do Katowic a tam postanowię, co dalej.

— Panie, przekaż pan wiadomość pod ten adres, że mnie porwali.

— I na ten...

— I na ten...

W godzinę później pociąg włókł się już wśród wydym w kierunku Bukowna, Szczakowej, Mysławic. Zmęczeni, głodni, jak gdyby wszyscy razem przeżyjący jakiś koszmarny sen, zasypialiśmy na podłodze i ławkach. Czarne ubranka traciły swój pierwotny wygląd i my stawaliśmy się inni.

(Fragment opowieści dla młodzieży).

# PORWANIE

Adolf Lekki

## Rejs po biografię

Dokończenie ze str. 1

salony, a więc tylko jeszcze uzasadnienie tego a zresztą: ten sam przeciętny wiatr, szlak, brzeg, kurs na West, ten sam gwar, gdy w salonach widać tancerzy i ten sam żal w dniu rozstania, gdy podróży przyjdzie kres. Rymuje się to wszystko wcale zgrabnie, i sens ma, i podteksty. A więc dalej na salony, gdzie podłogi miękką materią pokryte, aby nie skalać zabłoconą stopą bluszczących parkietów. Wygodny fotel nareszcie. Gorąca kawa w porcelanie. Błyszczące okładziny ścian malowniczych abstrakcyjnie. Stylizowane tarcze rycerskie złoczone. W suficie światła dyskretne i główki automatycznej instalacji przeciwpożarowej, które kiedy nie daj Boże potrzeba, zapalają wszystko do suchej nitki. Bezpieczeństwo i higiena podróży na wysoki polysk.

Dyrekcja Polskich Linii Oceanicznych niemal w komplecie — informuje wyczerpująco i rzetelnie. Stan posiadania PLO na koniec 1968 r. wynosił: 94 statki własne o łącznej nośności 773 601 DWT. Ponadto w tacecharterze Chińskiego-Polskiego Towarzystwa Maklerów Okrętowych pozostaje pod polską banderą 15 statków o łącznej nośności 163 182 DWT. Pływają na nich załogi PLO. Zatrzymano to zdanie ostatnie, krótkie, ale otwierające szeroko wyobraźnię. Lecz oto rekompensata: Flota PLO wykonana w 1968 r. plan przewozów w 101,8 proc.; wynik finansowy wyniósł 128,9 proc. Nadwyżka dewizowa przekroczyła 50 mln dolarów... Później z lawiny liczb i komentarzy zaczyna wyłaniać się monstroszty o nazwie „konkurencja”. Okazuje się, że ci panowie

w dobrze skrojonych garniturach to właściwie stratedzy, bezustannie śledzący oceaniczne rynki świata. Na zagrożone pozycje wysyłają posilki — agentów reklamowych, wygodniejsze i bardziej nowoczesne statki. W gruncie rzeczy nie obawiają się konkurencji na morzu. Groźba wisi w powietrzu. Ludzie się śpieszą, a taki TU 144 czy Boeing 747 „Jumbo” w kilka godzin pokonają Atlantyk, zabierając kilkadziesiąt pasażerów, którzy zapłacą tyle samo, albo mniej, co za podróż statkiem. W roku 1968 w stosunku do ubiegłego liczba podróży liniowych na Atlantyku zmniejszyła się o 138, przy równoczesnym spadku pasażerów o ponad 87 tysięcy. Wydaje się jednak, że flota pasażerska utrzyma się na wodzie. Istnieją jeszcze ludzie, którym się nie spieszy, przede wszystkim turyści, ludzie ceniący sobie wygodę, dobrą kuchnię, komfort i bezpieczeństwo podróży. To dla nich właśnie basen kąpielowy na „Stefanie Batorem”, zakład fryzjerski, klub młodzieżowy, pokój dziecięcy z guwernantkami, kilka barów, sale dancinowe, kino, przerożne gry, klimatyzacja i stabilizatory, redukujące do minimum boczne przechyły statku.

To dla nich właśnie ten biały fortepian, żywcem niemal przeniesiony z amerykańskich filmów „night society”. Stoł na niewielkim podium i szniele. Człowiek w poplamionym kombinzonie, uzupełniając pędzlem jakieś niewidoczne braki w kolorze, powtarza co chwila „dobry jest”, „dobry jest”, po czym oddała się na kilka kroków, patrzy na swoje dzieło z aprobatą i pociąga „sporta”. Za kilka dni jego miejsce zajmie pianista, zapala się kolorowe światła i Eryk Kulm, oficer rozrywkowy „Stefana Batorego”, kilkoma słowami zachęty wpro-

dzi tłum rodaków wymieszanych z innymi nacjami w Wielką Przygodę Towarzystwa, z której i business może wyniknąć, a choćby wspomnienie i ów wzmiankowany w piosenkach żal w dniu rozstania. A tymczasem przy białym fortepianie stoi gdański malarz ze Stoczni Remontowej, który przy pomocy trywialnego wprost środka za dwadzieścia kilka złotych kilogram wyczerował wstęp do krainy marzeń, gwarantując dobre samopoczucie pasażerów z niewielkim, ale pękającym portfelem w herbie. Zapewne znajdzie się wśród nich zaprzyjaźniony z całą niemal załogą Amerykanin polskiego pochodzenia, który na starym flagowcu odbył rejsów 18 i, jak wieść niesie, zamierza uświetnić swoją obecnością inauguracyjną podróż następcy „Batorego”.

Wygodne są te kanapy, fotele, foteliki, taborety wyściełane ciemnoczerwoną materią. I solidne. Wystarczy zapisać w ich spokojną pewnością, oprócz dłoń na metalowej kolumnie wysokiej, jak młoda palma, lampy, aby poczuć się kimś ważnym — gdzieś w kolonialnym świetle wiktorianskiej sytości. Tam właśnie prowadzą wyobraźnię te wszystkie przedmioty w stylu, który chyba nigdy nie zaniknie. Zniewolony, nie wiem kiedy zaczynam osobiste repetytorium z lektur marynistycznych, urwane nagle na „Zwierciadło morza”. Bo przede mną tańce zawrotny i nieco egzotyczny, dźwięczą kastaniety i coś tam gra, ona wygięta zmysłowo, on w pantalonach przykrótkich tupie ochoczo. To witraż dekoracyjny na polskim statku flagowym „Stefan Batory”, niewielki co prawda i niknący wśród innych z gdańskimi motywami, ale przecież... Za kilka miesięcy ten duet taneczny znieruchomieje z rozpacz, bo musi jednak przegrać w konkurencji z „ty-

pową karczmą polską”, jaka zostanie tu zbudowana. Oj, warto by posuchać chorów ludowych z owej karczmy, a i samemu chyba stanęłoby się w śpiewacze szranki.

Zapraszają do jadalni na obiad. Są niezmiernie gościnni. A przecież w ciągu kilkunastu ostatnich dni przyjęli niejedną taką grupę. Zaczynam rozumieć przyczynę popularności „Batorego” — nie tylko wśród naszych zamorskich rodaków. Tamten statek nie był najwygodniejszy, najbardziej komfortowy, w czasie zwykłej morki przechylał się staruszek na bok, tracił inwentarz ruchomy i zawartość pasażerskich żołądków. Pomimo to nie stracił klientów. Dziełnie wytrzymywał konkurencję szybkich i nowoczesnych pływających pałaców, bo przyjmował ludzi z ser-

towe, kawa i herbata... Jak by znalazł pojemność mojego żołądka! Steward podchodzi z płytą szwedzka. Tajemnicza nazwa kryje mnogość przystawek. Biorę to i owo, no i zaczyna się problem: czym to się je? Który z trzech widełców nadaje się do „płyty”, który z noży? Biorę pierwszy z brzegu, a pełne wyrozumiałości spojrzenie stewarda mówi mi o kolejnej porażce. I wpuść tu chłopca na pokój!

Jakiś szczupły mężczyzna o ostrym profilu twarzy przysiadł do naszego stołka. Zmęczony widak, więc usłudze polecam „klina”, nie odmawia, ale mówi, że wolałby się przespać, bo ostatnio, od czasu, kiedy nadzoruje adaptację statku, rzadko widzi łożko. Od słowa do słowa i wiemy o sobie co nieco. Pochodzi z Wilna, w czasie wojny



decznością. Jakiej próżno szukać. Anglicy czy Francuzi też są gościnni, ale polska gościnność ma to coś, co profesjonalno-obyczajowy obowiązek przekształca w życzliwość spontaniczną. Miał też „Batory” słynącą na oceanach kuchnię. Siadam więc za stołem naprzeciw koleżanki z „najlepszej gazety świata” — nawet „Świat Młodych” w oczach pracownika redakcji przekształcała się w... Sześć kuchni przygotował obiad, w którego skład wchodzi: płyta szwedzka, bulion z jajkiem, barszcz polski, halibut Metternich, kurczak pieczony po francusku, befszyk z półgdywy wołowej a la Rossini, bukiet z jarzyn, suflet z brzoszkwiem, melba „Stefan Batory”, ciastka biskop-

szczyły w 6 Samodzielnej Eskadry Transportowej, latał nad Berlinem (tylko raz, nie ma o czym mówić) po wyzwoleniu przejechał Polskę wzdłuż i w szerz, pracował przy budowie Turossowa, a teraz jest inżynierem w Gdańskim Stoczni Remontowej. Koleżanka z „najlepszej gazety świata” wniebowzięta, obojętnie temat jej sercu miły, napisać trzeba będzie, młode pokolenia wie, gdzie winny, że ojcowie dzielni i do poświęceń zdolni. W sukurs jej spieszę i notes wyjmuję. Inżynier Czerniewski patrzy na nas z pobłażliwym uśmiechem: To państwo ludzi nie znacie ciekawych — wtrąca mimochodem, a nam głupawo. Ale adres w końcu daje i telefon do pracy, i do domu, i obieca-

# Krasny powiat

Dokończenie ze str. 1

— A czy ludziom starym rodzą się dzieci? — odpowiada pytaniem sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR, Stanisław Jankowski. — Niektórym, jak dla przykładu kiedyś Fertnerowi, to się zdarza, no ale wtedy druga połowa małżeństwa musi być znacznie młodsza. Ale tak generalnie?

— Argument teoretycznie jest nie do odparcia — zgadzam się. — Ale chodzi mi o to, dlaczego powstała taka właśnie nietypowa sytuacja?

— No cóż, nie otoczę powiatu chłopskim murem — powiada sekretarz. — Zresztą ani nie ma po to, żeby, ani nie byłoby sensu. Zadanie województwo, żaden powiat, żadna gmina nie żyje sama dla siebie. W dużym organizmie państwowym każdy ma do spełnienia swoją rolę. Czasem rolę są dublowane, czasem trochę podobne, czasem zupełnie inne. Ale muszą istnieć wszystkie, aby cały organizm był prawidłowy.

— A więc jaką rolę spełnia powiat krasnostawski?

— Jesteśmy powiatem wybitnie rolniczym. Ale też niepowojnym. Mielimy nawet przez pewien okres targi z władzami wojewódzkimi, które uważały, że powinniśmy dostarczać przede wszystkim duże ilości zboża. W teorii rzecz słuszna, w rzeczywistości niemożliwa. Przeciętna powierzchnia gospodarstwa w naszym powiecie wynosi zaledwie 2,7 ha. I tak bez porównania lepiej niż przed wojną, bo reforma rolna objęła prawie 22 tysiące ha, które rozdzielił między 8176 rodzin. Wtedy to 15 tysięcy hektarów poszło na powiększenie już istniejących gospodarstw, ale nie dla wszystkich starczyło, no i średnia powierzchnia mimo wszystko pozostała niska.

— Rozumiem. Preferowanie uprawy zbóż w takim gospodarstwie nie oplaca się. Trzeba szukać czegoś innego.

— No właśnie. Plony zbóż są u nas wysokie — 22,5 q/ha, wyższe niż przeciętnie w województwie czy nawet w kraju. Buraków cukrowych zbieramy 400 kwintali, ziemniaków 230 — od poprzednich wyborów 30 proc. wzrostu. Ale samo zboże czy ziemniaki nie wyżywią — w tym szerokim pojęciu — właścicieli małych gospodarstw. Więc uprawia się u nas duże ilości tytoniu, chmielu, ostatnio także konopi i traw. Można uzyskać z hektara nawet 100 tys. zł.

— O ile pamiętam z chłopięcych lat, spędzonych na wsi, to uprawa chmielu jest zupełnie różna od uprawy konopi...

— Rzeczywiście. Choć wspólnie jest to, że obie wymagają dużo pracy. Tyle, że przy chmielu pracę trzeba dawać zawsze w bardzo krótkim okresie, w czasie zbiorów nieraz w ciągu tygodnia. Stąd też wielu naszych rolników zaczyna wycofywać się z tej uprawy, bo w sezonie samemu nie da rady, a ręk do wynajęcia brakuje. Konopie są pracochłonne, lecz ta praca rozkłada się głównie na okres zimowy, a więc na kilka miesięcy i to

— A więc?

— Więc młodzież, a przynajmniej duża jej część, opuszcza nasz powiat. Mamy nie tylko jedyne w Polsce liceum rolniczo-chmielarskie, ale także szkoły metalowe — w samym Krasnymstawie technikum i szkołę zasadniczą, w Żółkiewce zasadniczą. Razem ponad tysiąc uczniów. Zapotrzebowanie w naszym powiecie na absolwentów tych szkół jest małe, więc wyjeżdżają dalej.

— Przed kilku laty, gdy budowano statek „Lublin”, byłem w stożce szczytowej. Pokazywano mi tam kilkudziesięciu chłopców z krasnostawskiego, bardzo ich zresztą wychwalając. Nawet kierownik działu ekonomicznego też był stąd.

— No właśnie. Przed końcem każdego roku szkolnego przyjeżdżają do nas werbować absolwentów nie tylko z tej stożki, ale i ze Swidnika, z lubelskiej FSC. Niby prawda, że ci młodzi ludzie giną z powiatu, a pozostają starzy, no ale przecież nie giną z Polski. Myślę nawet, że w tych fabrykach stają się bardziej pożyteczni, niż byłiby u nas. A ten przyrost naturalny rodzi się już poza powiatem, czasem poza województwem.

— A co z tym określeniem „przedmieście Lublina”?

— Trochę w tym przesady. Ale prawdą jest, że z naszego powiatu codziennie wyjeżdżają do pracy poza jego granice 2 tysiące ludzi, głównie do Lublina. Ale także do cementowni chełmskich, a z rejonu Fajslawic — do „Traweny” w Trawnikach. Tam podają wysokie wskaźniki zatrudnienia, u nas są niższe, a przecież to nasi chłopcy.

— Z tego wszystkiego wynika jasno, że przemysł u waszym powiecie nie jest wystarczająco rozbudowany.

— Jeszcze nie. Mamy od lat fermentownię tytoniu, jedną z dwóch w województwie, mamy duże zakłady jajczarsko-drobiarskie, w Izbiicy zakłady zielarskie, dużą cegielnię w Wierzechwinie, wiele mniejszych zakładów. Wartość produkcji przemysłowej ogółem przekracza już pół miliarda złotych rocznie. Ale mimo że mamy 6 proc. ludności całego województwa, dajemy tylko 1,8 proc. produkcji przemysłowej.

— Bez rolnictwa żyć nie można, ale zawsze jakoś efektywniej wyglądają dane o przemyśle...

— Mówiłem już, że stanowimy powiat rolniczy i taki chyba on pozostanie. Ale w inwestycjach przemysłowych i na nas przyszła kolej. Tuż koło fermentowni buduje się już duży zakład wyrobów sanitarnych. W zeszłym roku był w „Kamieniu” nasz reportaż z tej budowy. Znajdzie tam pracę 420 ludzi,

choć — trzeba przyznać — ogłoszeń jest już ponad tysiąc. Kosztuje dużo — 170 mln zł. Ręczy za rok, a w tym samym czasie zacznie budowę wielkich zakładów odzieżowych. W pierwszym etapie zatrudnią one 800 osób, docelowo dwa tysiące. Mamy w planie dużą mleczarnię i zakład poligraficzny, w Izbiicy wytwórnię opakowań teksturowych. W perspektywie widzimy także inne zakłady, ale jeszcze nie czas o tym mówić, najpierw trzeba zrobić to, co jest w planach najbliższych.

— Tak więc doszliśmy do programu wyborczego Powiatowego Komitetu Frontu Jedności Narodu. Może kilka słów na ten temat?

— Nie chcę was zasympywać szczegółami. Aktywiści FJN przedstawiają ten program na spotkaniach z wyborcami w miastach i na wsi i społeczeństwo powiatu będzie znało ten program bardzo dokładnie, zresztą — jak wszędzie — samo zgłasza wiele wniosków, uzupełnia go, koryguje. Ale chociażby takie porównanie: w okresie poprzedniej kadencji na wszystkie inwestycje w rolnictwie wydaliśmy ponad 162 mln zł — w przyszłej — tylko na zakup maszyn rolniczych z Funduszu Rozwoju Rolnictwa wydamy 120 mln, na melioracje 58 mln zł, na dalszą elektryfikację wsi 18 mln zł. A gdzie koszty budowy czterech agronomów, dwóch filii POM-ów, lecznicy weterynaryjnej itd? Przy pomocy czynów społecznych chcemy wybudować sto km dróg o twardej nawierzchni, wodociągi w Gorzkowie, Anielpolu, Grukach i Orchowcu. Jeszcze bardziej rozwinie produkcję materiałów budowlanych, aby chłopcy mogli budować więcej niż — jak dotychczas — tysiąc budynków rocznie. W samym Krasnymstawie rozpoczniemy budowę dużego osiedla mieszkaniowego spółdzielni przy ul. Mickiewicza, które obejmie 600 mieszkań.

— A co z kulturą?

— W poprzedniej kadencji wybudowaliśmy 5 obiektów kulturalnych w powiecie, wszystkie w ramach czynów społecznych. To dowodzi, jak wielkie jest zapotrzebowanie ludzi na wszelkiego rodzaju zjawiska z dziedziny kultury. Mamy w powiecie 400 placówek kulturalnych, z tego 379 na wsi. Wszystkie biblioteki mają ponad 131 tysięcy książek, 21 tysięcy czytelników. Nie jest to mało — co piąty mieszkaniec powiatu jest stałym czytelnikiem. Pewnie, gdy policzymy liczbę przeczytanych książek, znajdziemy się w skali krajowej gdzieś w dolnej części tabeli. Ale trzeba wziąć pod uwagę z jednej strony ową młodzież, która wyjeżdża z powiatu, z drugiej strony wybitnie rolniczy charakter naszego powiatu. Na czytanie w praktyce pozostaje późna jesień, zima i wczesna wiosna. W sprawozdaniach, które się potem rozpowszechnia, nie można z tych powodów robić żadnych poprawek. Ale w takiej rozmowie, jak nasza, trzeba. A jeżeli chodzi o następną kadencję, to zbudujemy, znów przy pomocy czynów społecz-

nych, cztery domy ludowe — w Wielkopolu, Bzitem, Majdanie Wierchowskińskim i Dobryńkowie. Chcemy też — no, z lekką przesadą — stanąć na głowie, aby powstał dom kultury w Siennicy Różanej. Tamtejszy zespół działa już 60 lat, a warunki lokalowe ma wciąż trudne. A jeżeli w jednej wsi istnieje 63-osobowy chór, 45-osobowy zespół teatralny, dwa zespoły baletowe i pięć muzycznych — to taka wieś zasługuje na prezent w postaci ładnego domu kultury.

Tyle relacji z rozmowy z I sekretarzem KP PZPR w Krasnymstawie. Kiedy potem spacerowałem po mieście patrząc na dziesiątki nowych domów, asfalt pokrywający niemal wszystkie ulice, piękny szeroki most nad Wieprzem — przypomniały mi się wcale nie tak dawne, bo już powojenne czasy, gdy w tymże Krasnymstawie wodę rozwożono beczkownikami i gdy miasto ożywiało się tylko w dni targowe. Ale to już przeszłość, chociaż dla porównania trzeba ją od czasu do czasu przypominać.

Rozmawiał  
Jerzy Dostatni



Stanisław Jankowski

już nie stwarza kłopotów. Ale u nas konopie uprawia się inaczej niż np. w powiecie tomaszowskim. Tam w zasadzie sprzedaje się słomę — u nas przerabia ją na włókno. Nasi nawet kupują słomę z tomaszowskiego, bo oplaca się ją przerabiać. Stąd nasze kółka rolnicze kupują duże ilości trzepaków czy miedziarek.

— No ale wciąż jeszcze nie doszliśmy do odpowiedzi na pierwsze pytanie: dlaczego maleje liczba ludności, dlaczego przyrost jest tak niebywale niski?

— Cierpliwości. Jeżeli dalem już jakiś szkic naszego rolnictwa, to trzeba go jeszcze uzupełnić tym, że mamy w powiecie 68 ludzi na 100 hektarów, podczas gdy normalnie wystarczy około 40. Po prostu mamy zbyt wielu ludzi. Przydają się oni w krótkich okresach szczególnie natężonych prac rolnych, ale poza tym są zbędni. Co więcej — stają się ciężarem dla tych, którzy rzeczywiście są potrzebni.

## Prasa zakładowa

W 1963 roku międzyzakładowy komitet PZPR przedsiębiorstw, budujących kombinat w Puławach, rozpoczął wydawanie pisma pt. „Echo Puławskie”. Choć było ono w założeniu gazetą zakładową załóg budowlanych i montażowych, miało jednak ambicję zostać pismem powiatowym. Wyraziło się to w jego profilu: sprawy Puław i powiatu wysuwane były na pierwsze miejsce. „Echo Puławskie” sprzedawane było w kioskach „Ruchu”.

Po uruchomieniu Zakładów Azotowych, ściśle od 10 maja 1966 r., pismo przejął Samorząd Robotniczy kombinatu. W wyniku konkursu, ogłoszonego przez redakcję, zmieniono tytuł gazety na „Nasze Sprawy”. Zmienił się też zasadniczo jej profil, zajmuje się ona odąd przede wszystkim problemami zakładu. Ukazuje się co dwa tygodnie w objętości 6 stron formatu B3. Drukują ją lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN na maszynach płaskich. Nakład 2900 egz. rozchodzi się wyłącznie w prenumeracie zakładowej. Rozprowadzeniem zajmują się społeczni kolporterzy. Pieniądze, uzyskane z prenumeraty (roczna wynosi 24 zł), uchwalają Konferencje Samorządu Robotniczego przeznaczone są do dyspozycji redakcji na pokrycie honorariów autorów, zakup nagród dla uczestników konkursów i inne dożadne wydatki.

„Nasze Sprawy” redaguje siedmioposobowe kolegium, w którego skład wchodzi: naczelny dyrektor Zakładów Mieczysław Kolodziej, przedstawiciel Komitetu Zakładowego organizacji politycznych i



socjalnych działających w Zakładach.

Redakcja gazety jest samodzielną komórką organizacyjną, podległą bezpośrednio dyrektorowi naczelnemu. Zatrudnia czterech dziennikarzy na pełnych etatach oraz redaktora technicznego i korektorkę na półetat. Redaktorem naczelnym od zmiany tytułu pisma na „Nasze Sprawy” jest Ryszard Wnuk, który objął to stanowisko po dwudziestoletniej pracy w lubelskiej prasie codziennej. Sekretarz redakcji, Jan Leopold Łodyga, red. red. Waldemar Ostrowski i Maria Starzak posiadają wieloletni staż pracy w prasie zakładowej. Jeden z czterech etatów dziennikarskich jest przeznaczony dla redaktora zakładowej rozgłośni radiowej. W praktyce nie ma żadnego podziału i wszyscy pracownicy redakcji opracowują codzienne audycje rozgłośni.

Zespół redakcyjny pracuje w warunkach dużej samodzielności, kierownictwo polityczne i administracyjne fabryki ogranicza się do roli inspirowania.

Generalną zasadą przy redagowaniu „Naszych Spraw” jest jak najszersze i najdokładniejsze informowanie o wszystkim, co dzieje się w zakładach. Zdaniem zespołu jest to zasada, w warunkach kombinatu puławskiego najludniejsza. Kombinatu przysługuje się na ogromnej przestrzeni, poszczególne zakłady stanowią prawie odrębne jednostki, kontakty między pracownikami są przez to utrudnione. Gazeta poprzez informowanie o tym, co się dzieje we wszystkich wydziałach produkcyjnych, chce spełniać rolę integrującego zespołu. Oczywiście, zamieszczane są także reportaże, materiały publicz-

styczne, felietony. Sporo miejsca zajmuje sport, jest kącik filatelistyczny, rubryka „Azotropem”, poświęcona myślistwu. Każdy numer zawiera dużo interesujących zdjęć, ilustrujących życie zakładu. Autorem większości jest Stanisław Papciak, fotograf zakładowy.

Pismo publikuje stosunkowo niewiele materiałów krytycznych. Wynika to, zdaniem redakcji, z tego, że szczupły zespół redakcyjny w warunkach ogromnego kombinatu, przy różnorodnej i skomplikowanej produkcji, często nie jest w stanie ustalić absolutnej prawdy. Zamieszczanie zaś niedokładnie sprawdzonych materiałów krytycznych, dotyczących bezpośrednich spraw załogi, która może ocenić czy krytyka jest słuszna, podważyłoby autorytet pisma u czytelników.

„Nasze Sprawy” popularyzują na swoich łamach liczne akcje i konkursy ogłaszane przez CRZZ. Wykazują też sporo inicjatyw organizacyjnych. W ostatnich numerach gazety ogłoszono ankietę pod nazwą „Szukamy czwartej zmiany”. Ma ona na celu wykrywanie i zgłaszanie rezerw siły roboczej w związku z przygotowaniem zakładów do przejścia na czterozmianowy system pracy.

Dużym utrudnieniem w pracy redakcji jest brak korespondentów zakładowych. Liczne wysiłki, ze strony zarówno redakcji jak i Komitetu Zakładowego, w celu ich pozyskania, do tej pory dały nikłe rezultaty.

A. K.

statek dokładnie pokazać, na którym turbinie amerykańskie sprawne, a elektroniczna aparatura nawigacyjna bezpieczeństwa żegluga zapewnią... „O, to jest ciekawy człowiek! — przerywa reklamę i zaprasza do stolika intendenta statku, Henryka Szenka, starszego, krepiego mężczyźni, o typowej twarzy wilka morskiego.

Zabieramy 766 pasażerów i 249 osób załogi hotelowej. Kuchnię mamy zautomatyzowaną, a w niej równo do jednoczesnego smażenia 25 kurczaków, nowoczesny ruszt włoski, maszyny do porcjowania kotletów siekanych, do ubijania steków itp. Mamy też sztuczną krowę produkującą mleko i masło z proszku i wody, ekspres na 1000 filiżanek kawy, młynek do odpadów, pralnię, drukarnię... Intendent trzyma się nieźle, ale widać, że nuży go powtarzanie liczb i nieustanne propagowanie zalet statku. Niedługo odchodzi na emeryturę. Nie, proszę pana, ja się tego nie boję, ja na ziemi czuję się znakomicie, już wybrałem sobie miejsce, gdzie postawię domek, nie, nie w mieście, bo zadymione i smrodliwe, ze Świętojańskiej ludzie uciekają na peryferie, albo nawet dalej, na wieś. Nasza Szwajcaria Kaszubska — czy pan widział? Jeżeli będzie pan tam latem, to zobaczy piękne wille i domki jednorodzinne rozrzucone w zieleni, a w nich naszych stewardów. Do nich też należą co większe „Mercedesy”, stojące przy burcie... Pasażer, czy ktoś z łądu, nie ma pojęcia, co to jest statek. Dla niego wygodny hotel, a dla nas ciągła robota. W rejsie i w porcie. Ja w Montrealu rzadko wychodzę do miasta, tylko wtedy, kiedy muszę. Czasami do kina, ale filmy głupie, gorsze od polskich, a całe miasto cuchnie spalnią. Życie marynarza, drogi panie, cóż to za życie?... No tak, czasami spotkać można ciekawych ludzi. Kiedy po wójnie pływaliśmy na „Jagielle” z Genui do Hawany i innych portów Ameryki Środkowej, poznałem Hemingwaya. To był człowiek! A lubił nas, Polaków, jak mało kogo. W Genui wynajął cały lokal, żeby ugościć załogę. Załogę tylko, że nie dogadałem się z Ernestem do do

tłumaczeń jego książek. Jeden rejs do Japonii i przekład gotowy. No, cóż, nie pomyślało się wtedy, to i strata teraz...

Przypomniałem sobie nagle, że bez portretu rodaka lubelskiego wrócić nie mogę, bo w redakcji sami regionaliści. Szukam gorączkowo kogoś odpowiedniego, inżynier Czerniewski pomaga, bo rzecz w tym zamieszaniu nielatwa, wszyscy zalatani, brygady remontowe pracują pełną parą — za dwa dni flagowiec musi opuścić Gdynię z kompletem pasażerów na pokładzie. Kto z Lublina? — powtarza magister Jerzy Pszeny, kapitan „Stefana”, a przedtem „Batorego”. Łazuka! — odpowiada ze śmiechem. Muszą oni tu mieć urwanie głowy z tymi regionalistami. Znajdują się przecież lublinianie. Adam Druce, asystent nocny, szczupły, przystojny. Z samego Lublina — potwierdza. Ale teraz nie ma czasu na rozmowę. Może jutro. Na jutro też umawiam się z ochmistrem, Henrykiem Franaszczukiem, który znajduje przecież dziesiąte minuty na pokazanie mi kroniki koła ZBoWiD-u w którym jako były żołnierz II Armii WP aktywnie działa... Ale jutro pomyślało nieoczekiwanie moje plany i spotkanie trzeba było odłożyć na kilka miesięcy. Do zobaczenia!

Z nadbrzeża raz jeszcze obejmuje wzrokiem zmodernizowaną przez naszych architektów okrętowych sylwetkę „Stefana Batorego”. Ładny, duży statek pasażerski. Wygodny hotel, któremu nielatwo będzie stworzyć wokół siebie mitologię taką, jaka towarzyszyła poprzednikowi. „Batoremu” historia nadała rangę narodowego symbolu. Pozycja jego następcy zależna jest od reklamy biur podróży, od sprawności załogi, od dobrej kuchni i uprzejmości stewardów.

Wiatr powiał chłodny — przydała się ta moja Jesionka (z molo-totem).

Ireneusz J. Kamiński

# Księgozbiór z „dołu globusa“

Sabina Flanczewska

**A**USTRALIA, kraj leżący „w dole globusa“, jak go określa Lucjan Wolanowski w swej interesującej książce pt.: „Począta do Nigdy Nigdy“, nie jest dla nas daleki ani obcy. Mieszka tam bowiem obecnie ok. 100 tys. Polaków, którzy wytrwale szukają kontaktów ze swą dawną ojczyzną. Niejednokrotnie daje to duże obustronne korzyści. Jako przykład może służyć przekazanie przez rodaków z Australii księgozbioru, dotyczącego zagadnień związanych z Australią, Uniwersytetowi Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. We wzruszającym liście do rektora G.L. Seidlera działacze Polonii australijskiej zadeklarowali swą chęć przesłania Uniwersytetowi zestawu książek, które mogłyby służyć pogłębieniu wiedzy o Australii wśród naszego społeczeństwa. Rektor księgozbiór przekazał Bibliotece UMCS, a dziękując Komitetowi Polonijnemu za piękny dar, przesłał w zamian zestaw książek, dotyczących Lublina i Lubelszczyzny. Książki te znajdują się obecnie w bibliotekach: Uniwersytetu w Canberze, Towarzystwa Wiedzy o Polsce w Adelaide oraz Instytutu i Archiwum Polskiego w Australii z siedzibą w Sydney.

Podarowany naszej bibliotece księgozbiór składa się z 71 dzieł w 82 woluminach. Zostały one opracowane głównie przez naukowców australijskich, zaś z druku wyszły przeważnie w latach 1965—1967. Każdy ze starannie wydanych tomów opatrzony jest exlibrisem (z wyjątkiem encyklopedii).

Główną pozycją księgozbioru jest „Encyklopedia australijska“, wydana w Sydney w r. 1965 w 10 tomach. Daje ona w zasadzie całkowity obraz życia Australii, zarówno w przeszłości jak i w czasach najnowszych. Ciekawostką jest wykaz katastrof okrętów na wodach australijskich, 6300 artykułów w normalnym układzie alfabetycznym z odsyłaczami obejmuje ok. 2200 biografii, 1600 artykułów przyrodniczych i 1400 geograficznych. Osobne miejsce zajmują hasła specjalne. W artykule o tubylcach, napisanym przy współudziale 12 instytucji naukowych i ilustrowanym 14 stronicami fotografii oraz mapami, nie pominięto żadnego aspektu życia i kultury pierwotnych mieszkańców tego kraju. Drugim tematem, na który zwrócono szczególną uwagę, jest II wojna światowa. Obejmuje on wszystkie fazy udziału Australijczyków w konflikcie.

Drugą pozycją, również o ogólnym charakterze, ale zupełnie innego typu, jest wydawnictwo albumowe pt.: „Australijczycy“, wydane w Adelaide w r. 1967. Piękny tom, oprawy w płótno, z wyobrażeniem słońca z rozchodzącymi się promieniami na górnej okładzinie, ozdobiony całą serią sugestywnych,

wysoce artystycznych plansz barwnych, zawiera wielostronny obraz Australii. Przytoczę (w tłumaczeniu) krótki fragment z rozdziału pt.: „Mieszczanina“ („Australijczycy“ s. 111):

*Między końcem wojny i rokiem 1963 kraj, który przystąpił do wojny z ludnością, wynoszącą zaledwie 7 milionów, wchłonął liczbę 1942402 emigrantów... Wielki eksperyment udał się i nadal udaje ponad (wszel-*

*kości poświęcono faunie, rolnictwu, geografii i historii. Nic dziwnego: fauna tego starego kontynentu (skały z okresu prekambrzyjskiego) jest bardzo osobliwa, jak również specyficzna jest historia kraju, która dla całej ludności rozpoczęła się dopiero w r. 1788 przywiezieniem pierwszej partii zesłańców z Anglii do Nowej Południowej Walii i to tylko dlatego, że Stany Ameryki Płn. ze względu na*

*wany 1500 gatunków ryb, znanych na wodach Queenslandu. Wszystkie te pozycje są bogato ilustrowane.*

W grupie książek, traktujących o historii Australii, ciekawe są pamiętniki podróżników, którzy odkrywali poszczególne jej części. Na pierwszym miejscu stoją „Odkrycia kapitana J. Cooka na Pacyfiku, przedstawione w wyborze z jego własnych pamiętników 1768—1779“, wydane przez Grenfell Price'a w Melbourne w 1953 r. Jest to barwna opowieść sławnego podróżnika i odkrywcy o jego przygodach w czasie trzech epokowych podróży. Dziennik z pierwszej podróży jest obecnie „największym skarbem Australijskiej Biblioteki Narodowej w Canberze“, natomiast relacje z drugiej i trzeciej podróży posiada British Museum. Powiadano o Cooku: *Mapa Pacyfiku jest wystarczającym panegirycznym na jego cześć.*

Z dalszych pozycji należy wymienić „Odkrycia dotyczące Australii“, wydane przez E. Scotta, profesora historii na uniwersytecie w Melbourne, Londyn 1966. Jest to dzieło dwutomowe; tom I przedstawia fragmenty pamiętników odkrywców na morzu, tom II natomiast jest zbiorem autentycznych wypowiedzi podróżników, badających ląd Australii. O naszym sławnym Polaku, Pawle Edmundzie Strzeleckim wspomina Scott w przedmowie do tomu II na str. XXV:

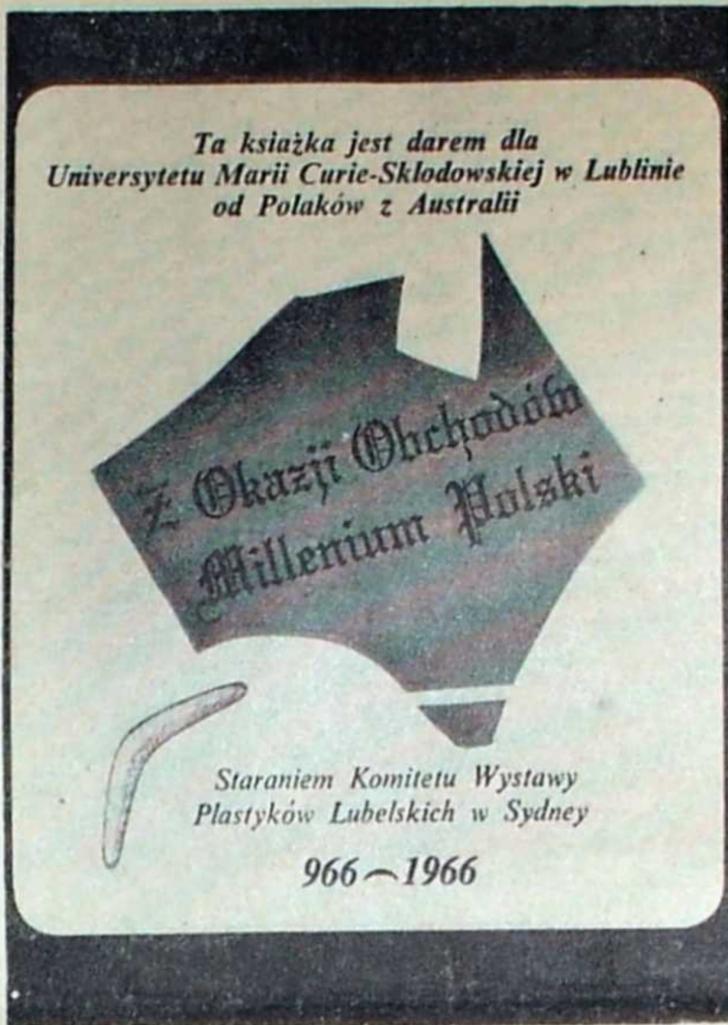
*Strzelecki był geologiem, który przybył do Australii w r. 1838 w celu poszukiwań na swym polu nauki; był on rzeczywiście jednym z pierwszych, którzy odkrywali ślady złota w tym kraju. Jemu również zawdzięcza się (fakt), że najwyższa góra w Australii nosi polską nazwę... sławnego patrioty jego kraju, Kościuszki...*

W dziele tym znajdują się też wyjątki z pamiętników tak sławnych podróżników, pomijając Cooka, jak m.in. Holendra Aba Tasmana, odkrywcy Nowej Zelandii i wyspy, nazwanej później jego nazwiskiem, następnie pierwszego angielskiego odkrywcy tych południowych regionów Williama Dampiera, który w r. 1688 dotarł do północno-zachodnich brzegów Australii, zwanej jeszcze przez niego Nową Holandią, czy wreszcie kapitana Charlesa Stuarta, który w r. 1829 odkrył rzekę, nazwaną przez niego Darling, a następnie rzekę Murray.

Pożyteczną pozycją są: „Wybrane dokumenty do historii Australii“, t. I: 1788—1850, t. II 1851—1900, wydane przez C. M. H. Clarka, profesora historii na uniwersytecie w Canberze, Sydney 1966. Jest to zbiór dokumentów drukowanych, podzielonych problemowo. Pierwsze dzieło tego rodzaju w Australii, pomija jedynie dokumenty, dotyczące odkryć na morzu i lądzie, wydane uprzednio przez Scotta. Wybór ten stworzono na podstawie materiału,

znalezionego prawie wyłącznie w bibliotekach australijskich. Następna książka, o której chciałabym powiedzieć parę słów, to: „Wybrane studia w Australii“, wydana przez E. L. Wheelwrighta w Melbourne w r. 1965. Jest ona rezultatem seminarium, zorganizowanego przez Federację Związków Naukowców Australijskich, które to seminarium odbyło się na Uniwersytecie Nowej Południowej Walii w Sydney w maju 1964 r. Przedmiotem rozważań był stan obecny i perspektywy rozwoju uniwersytetów, wyższego szkolnictwa technicznego i zakładów kształcenia nauczycieli. Zbytlna „zawodowość“ uniwersytetów przygotowuje, według dyskutantów, głównie do danego zawodu, bez rozbudzenia zamiłowań do pracy naukowej. Wynika stąd niedobór kadry naukowej. Uniwersytety ze swym systemem college'ów podobne są do uniwersytetów angielskich, skąd czerpały wzory organizacyjne. Jednakże z powodu peryferyjnego położenia Australii, nie przyciągały wybitniejszych indywidualności, które wolały pracować w europejskich ośrodkach naukowych. Wynikiem tego był m.in. taki paradoks, że historycy, ekonomiści i socjologowie australijscy dopiero ostatnio zainteresowali się problematyką swego kraju. W chwili obecnej trzeba jednak dodać, poziom uniwersytetów ciągle się podnosi. Co do szkolnictwa technicznego i zakładów kształcenia nauczycieli, to obecnie istnieje tendencja do ich unaukowania i ściślejszego związania z uniwersytetami.

Książka, poświęcona literaturze, jest: „Historia literatury australijskiej“ H. M. Greena w dwóch tomach: 1789—1950, Sydney 1966. Literatura australijska w początkowym okresie była naśladowaniem wzorów angielskich. W miarę wzrostu osadnictwa, a zwłaszcza masowego przyływu ludności w dobie gorączki złota, rodziła się literatura oparta na motywach oryginalnych, australijskich (np. powieść H. Kin-sley'a: „Wspomnienia Geoffreya Hamlyna“). Przełomowym momentem w rozwoju literatury australijskiej było założenie w r. 1880 czasopisma „Biuletyn“ przez J. Heynasa i J. F. Archibalda. Wybitny publicysta australijski Alfred George Stephens szczególnie zachęcał młodych pisarzy na łamach „Biuletynu“ w r. 1894 do twórczości, która byłaby związana z krajobrazem australijskim i życiem prostych ludzi. Pod jego wpływem powstały ballady Henry Lawsona o doli ludności robotniczej i A. B. Petersona, który opiewał busz i jego mieszkańców, pionierów i poszukiwaczy złota. Wówczas również pojawiła się młodociana powieść znanej autorki australijskiej, Miles Franklin: „Moja wspaniała kariera“, wyd. w r. 1901, o której Stephens



kie) oczekiwania. Australijczyk z końca lat pięćdziesiątych był już mądrzejszy, bardziej dojrzały, o wiele sympatyczniejszą postacią, niż przerażona istota z okresu de-presji (gospodarczej) w latach trzydziestych... oni (tj. Australijczycy) wiedzieli, że bez obrzymiej, planowej asymilacji, nigdy nie byłiby zdolni do tak wielkiego rozwoju.

Urywek ten dobrze oddaje wielki wpływ, jaki miała i ma emigracja nie tylko na rozwój gospodarczy Australii, lecz również na charakter jej białych mieszkańców. Najwięcej

swą emancypację spod władzy angielskiej nie liczyli się jako miejsce zesłania.

W dziale fauny „Australiana“ mogą poszerzyć się takim pięknym wydawnictwem jak „Grahama Pizze-ya: „Zwierzęta i ptaki w Australii“, Melbourne 1966, czy książką poświęconą wyłącznie muszłom pt.: „Muszle australijskie“, Melbourne 1962, której autorem jest Yoyce Allan, bądź Toma C. Marshalla „Ryby Wielkiej Bariery Koralowej“, Melbourne 1966, gdzie autor opisuje w sposób usystematyzo-

## (Artykuł dyskusyjny)

**W**YZNANIE liryczno-intymne na początek, żeby potem nie było nieporozumień. Otóż nie jestem przeciwnikiem zjawiska społeczno-kulturalnego, które się nazywa pisarstwo ludowe. Więcej nawet — jestem mu życzliwy, szczególnie od czasu, kiedy mi przyszło wychynąć zza biurka, zraszanego krwawicą nadzwyczaj intelektualnych trudów, oraz opuścić zacisze bibliotek, gdzie beztrudno wahałem szlachetne kwiatki wyselekcjonowanej kultury i wyspecjalizowanej nauki o literaturze. Od tego czasu coraz bardziej skłonny jestem powątpiewać, czy absolutne kryteria wartościowania estetycznego zdolne są wyjaśnić określony fakt kulturowy w całej jego istocie oraz złożoności. Wiadomo bowiem, że nie tak nie powoduje fałszywych ocen, jak jednostronność podejścia.

Swe wątpliwości usiłuję jednak utrzymać w rozsądnych granicach, nie tylko dlatego, by z kolei nie mitologizować kryteriów pozaestetycznych, ale przede wszystkim, żeby nie utonął w niezhierarchizowanej magmie kategorii, która to mieszkalnicza pojęć żadnego faktu wyjaśnić nie potrafi, bo nie zdoła nawet ustalić jego granic.

Te prawdy banalne trzeba, niestety, przypomnieć, gdy dziś pytamy o pisarstwo ludowe, albowiem to nadzwyczaj złożone zjawisko obrosło bluszczem rozmaitych nieporozumień i mitologii, co wzięło się właśnie z balaganu kryteriów, usiłujących porządkować praktykę organizującą samo zjawisko, i co tylko zaciemniło jego rzeczywisty obraz i tak już z natury skomplikowany. Doszło do tego, iż właściwie nie wiadomo dzisiaj, co to jest pisarstwo ludowe, iż wszystko może być pisarstwem ludowym, skoro byle pretekst dozwala opatrywać tym mianem naj-

rozmaitsze utwory, jakościowo, gatunkowo i typologicznie całkiem różne, oraz najrozmaitszych autorów, często o przeciwstawnej charakterystyce biograficznej, a częściowo i socjologicznej.

Dobrym przykładem służy tu trzeci tom antologii „Wielki tworząca“ (Lublin 1968), gdzie zaprezentowano poezję przede wszystkim członków dawnego Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy Ludowych w Lublinie, który działał w latach 1965—1968, a potem został przekształcony w ogólnopolskie Stowarzyszenie Twórców Ludowych. Ta właśnie książka będzie mi służyć główną pomocą przy ilustracji stanu rzeczy. Czasem też przyjdzie sięgnąć do opracowanej przez J. Szczawieja „Antologii współczesnej poezji ludowej“ (Warszawa 1967).

Podłożem nieporozumień bywa ogólniejszy fakt, iż cokolwiek w jakikolwiek sposób dałoby się zaliczyć do pisarstwa ludowego, to z góry zostaje zawartościowo pozytywnie, występuje w aureoli przedmiotu, który trzeba z pietysmem kulturować, utrzymywać i upowszechniać. Zanim dojdzie do faktycznego rozpoznania zjawiska, już wytwarza się wokół niego atmosfera tkliwej przychylności, którą podtrzymują „romanciści, najczęściej o gołębim sercu apostołowie ludowego pisarstwa.

Efekt — stają w jednym domu chłopskiej poezji utwory i postaci związane związkiem zgola surrealistycznym. 35-letnia chłopka, analfabeta, która, jak sama powiada, *całe życie przebywała po większej części w polu przy pracy i tu przychodziły jej różne natchnienia, tworzyła, myślała, dumala, układała rymy*. W swych dyktowanych córce wierszach pięknie nawiązuje i eksploatuje tradycję anonimowej, przedpiśmiennej pieśni ludu wiejskiego. Obok tej autorki 25-letni nauczyciel, urodzony we wsi, ale normalnym trybem kończący szkołę średnią, a później Studium Nauczycielskie, grafomaniję pod nowoczesną poezję, debiutujący zaś w r. 1966 na kartach antologii „Wiersze proste jak życie“. Dalej — pochodzący ze wsi 71-letni autor... dziesięciu „normalnych“ tomików, wydawanych od 1928 r.,

były kierownik Wydziału Kultury w mieście wojewódzkim, w latach 1929—1952 członek ZLP, i wreszcie na przykład 38-letni, z wykształceniem średnim pracownik aparatu kultury w Ostrołęce, publikujący szeroko (także w prasie centralnej) swoje całkiem przyzwoite wiersze, który motywy wiejskie zgrabnie wykorzystuje dla immanentnych celów własnej poezji.

*Lysico, Lysico, ztois jak ta pani, chto ciebie obacy, nicht cie nie pogani.*

*Lysico, Lysico, ty lesie urocy, kazden cie podziwia, chto tylko zobocy.*

\*\*\*  
*to odwieczne mity przebrzmiałych epok szybko jak czas trwałsza jak uszechciał za widnokręgi dziś sobie samej podległa aktem wiary myśli*

\*\*\*  
*wychodzę z siebie naprzeciu was*

\*\*\*  
*krajobraz mego wnętrza ekranizuję w słowie*

*śpiewa moją ekstazy świat w patosie czasu nazwane słowa wirują jak ptaki (ltd. ltd.)*

**MATKA BOSKA**

*Gdy maj ubierał ziemię w suknie włosemne kleknąłem na kolanach dzieciństwa przed kapliczką w której Matka Boska słuchała modlitw ludzkich.*

*Przyszedłem tutaj dzisiaj — w kapliczce nie ma już Matki Boskiej — w kapliczce stoi stara kobieta wiejska wyrzeźbiona w drewnie ciężką chłopską dłońią*

*i zalamuje placzliwie ręce — które toczy kornik czasu.*

To wszystko jest dziś sprzedawane w jednym worku jako poezja ludowa! Ktoś mógłby powiedzieć, że się tu przelamuje różnorodność chłopskiego pisarstwa, ale wedle mnie tu się przelamuje kompletne nieporozumienie. Wśród publikowanych w trzecim tomie „Wielki tworzącej“ autorów naliczyłem pięciu członków ZLP, trzech — KKMP, dziesięciu — studentów lub absolwentów wyższych uczelni. Maluczko, a trzeba będzie zapisać do STL-u Kawalca, Pilota, Nowaka i Haraaymowicza. Ich teksty znajdują się wówczas obok takich pereł samorodnego pisarstwa ludu:

*Noe srebrozista księżyc platynowy haremem gwiazd wabiących otoczony promieniuje*

# Czas bezrobocia

powiedział że jest to „pierwsza (wartościowa) powieść australijska, która została opublikowana”. W latach następnych plejada nowych pasarzy postawiła literaturę australijską na dobrym poziomie ogólnosiwiatowym.

Na zakończenie chciałabym wspomnieć o książkach z dziedziny sztuki i o pozycjach poświęconych tubylcom. Dzieło Bernarda Smitha pt.: „Malarstwo australijskie 1788—1960”, wyd. w Melbourne w 1965 r., zajmuje się historią malarstwa tego kraju od chwili, gdy w skład załogi „Endeavour”, okrętu kapitana J. Cooka, weszli m.in. dwaj malarze: Alex Buchan i Sydney Parkinson. Rysowali oni postacie tubylców, krajobrazy, rośliny i zwierzęta dla Josepha Banksa, młodego botanika, który wyruszył wraz z Cookiem w tę odkrywczą podróż. Początkowo, aż do r. 1830, malarze jedynie odwiedzali Australię. W drugim okresie, gdy ówczesna kolonia angielska wzbogaciła się nieco, zaczęła się rozwijać rodzima twórczość pojedynczych artystów. Ostatni okres, mniej więcej od r. 1888, tj. od powstania tzw. szkoły heidelbergkiej (od miejscowości o tej nazwie w Australii), charakteryzuje się formowaniem szkół malarzkich. Jak podkreśla autor we wstępie do swego dzieła malarstwo jest jeszcze ciągle u początku drogi. Cechuje je brak prawdziwie twórczej oryginalności. Jednakże może ono poszczycić się artystami utalentowanymi. Takimi, bez wątpienia, byli Thomas William Roberta, Arthur Streeton i Charles Conder, przedstawiciele szkoły heidelbergkiej, którzy zapoczątkowali malowanie w plenerze. Artystą dużej klasy był również Hans Heysen, portrecista, oraz John Russel, portrecista i pejzażysta (1858—1931), który długie lata przebywał we Francji, gdzie przyjaźnił się z Vincentem van Goghem i Claude Monetem. Mieli oni bardzo dobrą opinię o sztuce Russela, a Monet uważał nawet, że niektóre z krajobrazów Russela są lepsze od jego własnych.

Tubylcom poświęcone są następujące książki: „Pierwotni mieszkańcy Australii. Jak ich rozumieć”, Melbourne 1966, A. P. Elkina, prof. uniwersytetu w Sydney, wybitnego antropologa, który położył podwaliny tej nauki w Australii, następnie związana z nią zbiorowa praca pt.: „Pierwotni mieszkańcy w Australii”, Melbourne 1965 i wreszcie dwa dzieła, zajmujące się sztuką pierwotnych Australijczyków: zbiorowa pt.: „Pierwotna sztuka australijska”, Sydney 1964 i K. Kupki: „Zaranie sztuki. Malarstwo i rzeźba tubylców australijskich” z przedmową prof. Elkina, Melbourne 1965. Wymienione dzieła nawiązują do badań antropologicznych, językoznawczych i psychologicznych, dotyczących pierwotnych Australijczyków, badań, które obecnie są szczególnie nasilone. Biorą w nich udział odpowiednio wydziały uniwersytetów i muzeów. Człowiek pierwotny bowiem, dawniej traktowany okrutnie, dziś znajdujący się pod ochroną, przemija, bądź stapia się z białą ludnością (w r. 1789 — ok. 300 tys., obecnie — ok. 40 tys.) Wraz z nim ginie również wiedza o nim i jego niepowtarzalnej, interesującej, chociaż prymitywnej, związanej z jego wierzeniami, kultu-

Dokończenie ze str. 3

zaczęła się stawać niebezpieczna. W mieście mogło dojść do masowych rozruchów. W efekcie władze miejskie, przestraszone, postanowiły — z uwagi na wyjątkowo ciężkie położenie robotników (...) udzielić zasiłek po 5 zł, co zostało natychmiast uskutečněnione.

Pięcioletowy zasiłek nie rozwiązał przecież problemu bezrobocia. 10 stycznia 1931 r. „Głos Lubelski” donosił: Dowiadujemy się, że w bardzo wielu przypadkach przyczyną zamachów samobójczych jest brak środków do życia, a więc nędz. Sytuacja musiała być fatalna, skoro wcale nie demokratyzujące pismo zdobyło się na takie słowa. Jeszcze bardziej dobitnie określa warunki bezrobotnych podanie ludzi żyjących w barakach przy ul. Żelaznej 20, skierowane do wojewódzkiego Wydziału Pracy, Opieki Społecznej i Zdrowia: „pozostajemy w barakach, które po prostu nie nadają się i w ogóle nie przypominają ludzkiego mieszkania, do tego stopnia, że dzieci nasze chodzą bosko i nago, z powodu przejmującego zimna, zmuszone są po całych dniach przestawać w baraku (tóżku), pokryte lachmanami. Pozostajemy w tak okropnej nędzy, obawiamy się, że z głodu i zimna może rozpowszechnić się epidemia.

Pod koniec stycznia, w ramach ogólnopolskiej akcji dożywiania, także władze lubelskie przystąpiły do wydawania obiadów dla bezrobotnych. Powstało sześć tzw. „głodowych kuchni” — w zakładach Moritza, przy ul. Krochmalnej, Fabrycznej, Uniekiej, Zamojskiej i Długosza. Natychmiastowy napływ bledoty był tak wielki (po obiady zgłaszało się 7—8 tys. osób dziennie), że władze zaczęły szukać usprawiedliwienia sytuacji w... „propagandzie komunistycznej”, starając się rzekomo za wszelką cenę skompromitować ustrój i władze w oczach obywateli. Niestety, sam Wydział Bezpieczeństwa Urzędu Wojewódzkiego musiał wkrótce stwierdzić z żalem:

Obserwacja nie ujawniła, by kompartia (KPP — przyp. red.) prowadziła w tym kierunku jakikolwiek akcje, mającą rzekomo na celu — z jednej strony wywołanie w społeczeństwie depresji moralnej, z drugiej zaś postawienie władz administracyjnych i samorządu w kłopotliwym położeniu, m. in. przez przedwczesne wykorzystanie przeznaczonych na pomoc bezrobotnym środków pieniężnych, a tym samym spowodowanie bezrobotnych do ekscesów.

Tadeusz Gwizdek dzielił los tysięcy bezrobotnych. A i tak jeszcze miał szczęście, ponieważ i ojciec i on posiadali fach „budowlany”. Ojciec brał dorywczo roboty ciesielskie przy budowie domów w mieście i na wsi, syn malował w tych domach ściany. Ze nie było to zajęcie intratne i trwałe, świadczy fakt, że gdy w połowie 1931 r. na-

darzyła się okazja dostania pracy dla robotników niewykwalifikowanych podczas kampanii cukrowniczej, Tadeusz Gwizdek natychmiast zgłosił się do lubelskiej cukrowni i przepracował w niej kilka miesięcy. Zresztą, taka okresowa „zarejestrowana” praca dawała podstawę do otrzymywania później przez pewien czas zasiłku pieniężnego dla bezrobotnych oraz korzystania z obiadów „głodowej kuchni”. Nie bez przyczyny zresztą bezrobotni nazywali tą kuchnię „głodową”. Nawet „powściągliwy” „Głos Lubelski” pisał w 1931 r.: (...) ze strony bezrobotnych dochodził skargi o rzekomych (podkr. — MD) nadużyciach popełnianych przy rozdawaniu obiadów. Mniej powściągliwy był przedstawiciel Rady Okręgowej Związków Zawodowych, który w swym raporcie stwierdzał bez ogródek: „Zupa to talerz gorącej wody, w której jest pewna zawartość napuń gotowanej kaszy lub grochu; tłuszczu absolutny brak, jak również jakichkolwiek jarzyn czy dopraw”.

Dzięki znajomościom udało się Tadeuszowi dostać w 1932 r. pracę w fabryce samolotów Plage-Laśkiewicz. Siedmiomiesięczne zajęcie dało mu możliwość pobierania następnie przez 13 tygodni zasiłku pieniężnego w wysokości 30 proc. ostatnich tygodniowych zarobków.

Sytuacja bezrobotnych stawała się coraz gorsza. W początkach 1932 r. zlikwidowano w Lublinie „głodowe kuchnie” (z wyjątkiem jednej). Wprowadzono też nowelizację ustawy z 18 lipca 1924 r. o zabezpieczeniu na wypadek bezrobocia. Dawniej robotnik musiał przepracować 20 tygodni, aby uzyskać prawo do zasiłku, teraz obniżono wprawdzie granicę wieku do lat 16, ale przedłużono wymagany okres pracy do 26 tygodni. Mimo pozorów polepszenia, pogarszało to tylko sytuację, bo o tak długą pracę dorywczo było niezwykle trudno. W efekcie zasiłek przysługiwał teraz jeszcze mniejszej liczbie bezrobotnych.

W 1933 r. Tadeusz Gwizdek był uczestnikiem tzw. „strajku bezrobotnych”. Magistrat Lublina zatrudniał bezrobotnych do prac sezonowych, płacąc niezwykle niskie stawki. Pewnego dnia robotnicy porzucili pracę, zgromadzili się przed siedzibą Urzędu Zatrudnienia i wysłali do kierownika urzędu delegację, która miała pertraktować w sprawie podwyżki płac.

— Myśmy czekali — wspomina Gwizdek — co z tego wyniknie, i nie spodziewaliśmy się wiele, ale... to co nastąpiło, przeszło wszystkie nasze oczekiwania. Nagle, jak my tak stoimy gromadą pod tym blurem, otwiera się na piętrze okno, wychyla się jeden z delegatów i krzyczy: „Towarzysze, aresztuj nas!” To co, my mieliśmy stać dalej spokojnie? Poleciały cegły w okna, krzyk się zrobił, a tu już policja z karabinami z bocznej ulicy wy-

pada, strzelają, ludzie uciekają... I jeden, Kazanowski, dostał. Uciekał w kierunku Czechówki i jak dostał, jak by się przykleił na chwilę do muru, koło którego biegł, a potem zaczął się powoli osuwać po tym murze. I tak pod nim już leżał.

Dopiero w 1937 roku, po siedmiu latach bezrobocia, Tadeusz Gwizdek uzyskał stałe zajęcie. Został przyjęty do niewielkiej fabryczki wag, prowadzonej przez inż. Caudra. Pracowało tutaj ok. 30 robotników. Produkowano przede wszystkim wagi, ale także mniejsze skomplikowane maszyny rolnicze. Tu zastał Gwizdka wybuch drugiej wojny światowej i tutaj przebył on cały okres okupacji, dzieląc czas pomiędzy pracę w fabryce a służbę w Miejskiej Straży Pożarnej. Członkiem Straży Pożarnej był zresztą od 1925 roku.

Caudr musiał mieć chyba jakieś bliższe powiązania z Niemcami, bo kiedy Armia Radziecka zaczęła się zbliżać do Lublina, spakował dobytek do samochodu i wraz z rodziną wyniósł się z miasta. Fabryka przez kilka dni stała bezczynnie. Ale natychmiast po wyzwoleniu Lublina robotnicy zjawili się znowu w hali produkcyjnej. Ponieważ właściciel nie zjawiał się, wybrano spośród załogi zarząd, który objął kierownictwo. W skład zarządu weszli Feliks Poniatowski, Stanisław Roma-

nowski i Stanisław Lipiński. Z pozostałych w magazynach surowców kontynuowano produkcję. Wkrótce kierownictwo zakładu udało się na ulicę 22 Lipca do Wojewódzkiego Urzędu Przemysłowego i przekazało fabrykę Państwu. Tak powstała „Państwowa Fabryka Wag — dawniej Jarosław Caudr”.

W 1946 r. Tadeusz Gwizdek wstąpił w szeregi PPS, a po kongresie zjednoczeniowym stał się członkiem PZPR. Dzisiaj, jak dawniej, jest „u Caudra”, chociaż sam zakład oficjalnie otrzymał nazwę „Zakład Nr 3”, wchodzący w skład polonizowanych Lubelskich Fabryk Wag. Stan zdrowia nie pozwala Gwizdce pracować w wyuczonym zawodzie, więc poświęcił się bez reszty czuwaniu nad bezpieczeństwem fabryki, z którą po ciężkich okresach związał się na pół życia: dowodził czterdziestoma ludźmi, dla których jeszcze, tak jak zawsze dla niego, romantyzm kojarzy się z linańcem hełmem i toporkiem przytoczonym do szerokiego pasa. Choć to już nie te czasy, kiedy hełmy były złociste, a o podłogę pożarniczej stajni były kopytami konie... Jest to wszakże czas, kiedy córka Tadeusza Gwizdka, nauczycielka języka rosyjskiego, mogła bez obawy o dalsze losy rodziny obdarzyć go wnuczką.

Mirosław Derecki

Witold Nanowski

## Pożegnania

Wniebowstąpienia łąki, fiołki niepamięci,  
ogrody, których sennaść miała twarz umarłych —  
odechodzą ode mnie, że musiałem wątpić,  
czy były w mym dzieciństwie kruchym i nieśmiałym?

To obudzenie nikle bardziej niż łąka  
niosło wizję zawrotną porzuconych światów.  
W złotych światłach przeszłości mój obraz się błakał,  
zapalały się wiosny, dojrzewało lato.

Pod konduktem żalobnym purpury, cynobru  
wiodłem serce tak martwe, jak cementarna płyta.  
W tej paradzie żalobnej, kiedy obraz konał,  
żegnał mię świat żyjących, świat umarłych witał.

Kraków

zimnej pychy blaskiem  
zakwefił lice aureole  
zazdrosny o urodę ciała niebieskiego  
dumny łowca meteorów  
raz dostrzegł Ziemię zmysły postradał  
porzucił gwiazdy i randkuje nocami do  
brzasku  
z planetą namiętnościami wzburzoną.

sensownego systemu kryteriów i o zbyt dobre chęci organizatorów ruchu.

Problem pisarstwa ludowego jest trudny i złożony, ze względu choćby na wartościową sprawę ludzką, jaka za nim kryje, ale jaka nie zawsze towarzyszy odpowiednio wartościowej sprawie poetyckiej. Nie usiłuję tu nawet problemu rozwiązywać, ja go

ogólnonarodową. Równocześnie trzeba pamiętać o samorodnym zbieractwie folkloru, a także o poetyckich faktografach tradycyjnego obyczaju (np. Beciński).

Druga grupa to ludzie, którzy, aczkolwiek częściowo uczestniczą już w innych układach kulturowych, żyją jednak nadal we wsi i zachowali pamięć własnej chłopkości, uświadamili sobie tę chłopkość — choćby na drodze intuicyjnego poznania w akcie twórczym poezji — i mocą swego talentu potrafili dać temu, w szerokim sensie nowoczesny, poetycki wyraz. Czuję się, że podmiot tych wierszy to autentyczny chłop, ale zarazem obcuje się często z rzetelną poezją (np. Pocek). Z takich źródeł bierze początek proces wyrażania się specyficznej literatury ludowej w literaturę ogólnonarodową. Toteż młodzi utalentowani ludzie powinni w tych wypadkach traktować swoją przynależność do STL-u jako wstępny i całkowicie przejściowy etap na drodze ku zwyczajnemu pisarstwu.

Z wymienioną grupą częściowo krzyżuje się następna, b. liczna. Piękne pokolenie zasłużonych długoletnich działaczy ruchu ludowego, rzeźników polskości, żołnierzy i partyzantów. Działają, a często i publikują od przedwojny. Zdobywają samorodnie w ciężkim trudzie kulturę literacką i wykształcenie na poziomie średnim. Nic tu nie miałbym do zarzucenia, odwrotnie — wszystko do pełnej solidaryzacji. Drobną tylko uwagę. Dziś, kiedy ich poezja nie znajduje szerszego gruntu dla bezpośrednich funkcji narodowych czy społecznych (utwierdzenie polskości na wsi śląskiej czy mazurskiej, protest klasowy, walka o wolność), należy przeprowadzić większą selekcję pod kątem walorów literackich. Po co mają poważni i zasłużeni ludzie narażać się na kpinę wachających kwiatki młokosów. No i oczywiście — jeśli można — nie przesadzać tutaj ze zbytym szafowaniem terminem „poeta ludowy”. Gdy chłop maturzysta-samouk, dzielący swoje życie między pracę na roli a działalność społeczną, pisze pod wpływem Konopnickiej, Pola, Lenartowicza, Słowackiego czy Broniewskiego, to nie widzę w tym szkopału, bo po opublikowaniu zyskuje-

my ciekawy dokument dla szerszej społecznej recepcji naszych nobilitowanych pisanek, a także dla kulturalnego awansu starszego pokolenia chłopów. Ale jeśli magister filozofii czy filologii, kończący w normalnym terminie studia, nie wiadomo nawet czy chłop z pochodzenia, długoletni badacz folkloru, edytor, lektor uniwersytecki, pisze przeciętne stylizacje pod kaszubski folklor, to interesująca nas granica pojęciowa zostaje tu przekroczona.

Gdyby z powyższego wylaniała się przynajmniej zarys granic zjawiska, o którym mowa, to mój cel zostałby osiągnięty. STL będzie się rozwijać, powstaną oddziały wojewódzkie, dojdą nowi członkowie. Trzeba w przyszłości kontrolować ten rozwój, myśleć o nim nie tylko okazjonalnie, z racji np. Dni Oświaty Książki i Prasy, z umiarem i precyzją podchodzić do ruchu samorodnej i pozornie samorodnej twórczości, oddzielać autentyczny od falsyfikatu, by nie zatracić walorów rzeczywistych na użytek „liczbowego” optymizmu statystycznych sprawozdań. Jeśli zaś mowa o falsyfikatach, to zawsze podejrzliwie traktowałbym nadzwyczajne liczne poetyckie dowody usentymentalności piękności rodzimego krajobrazu. Chłop zbyt blisko jest z przyrodą na co dzień, by tak silnie odczuwać jej ewentualne uroki. Ona stanowi dlań normalne tło pracy i życia, nie zaś przedmiot tak intensywnych i „szczegółowych” estetycznych wzruszeń, co już Bystron zdołał spostrzec i co może stanowić podstawę dla wypracowania jednego z kryteriów klasyfikacyjnych.

Poprawka do statutu STL, zatwierdzana obecnie z niejakimi kłopotami, a mówiąca o powołaniu fachowej Rady Naukowo-Artystycznej Stowarzyszenia oraz o stałej współpracy z kompetentnymi instytucjami, ta poprawka wydaje mi się ze wzzech miar ewidentna.

Kamena str. 7

# wego pisarstwa

Maciej Podgórski

Osadni przykład natchnął mnie pewnym pomysłem. Jeśli jesteś młodym grafomanem, pochodzisz ze wsi lub tam mieszkasz (mieszkałeś), a nie za bardzo chcesz się uczyć, wtedy jedyną szansą pozostaje dla ciebie napisać cokolwiek o czymkolwiek i zrobić się twórcą ludowym. Mecenaszowie dobrotliwi zawsze się znajdują. Będziesz wówczas grafomanem publikowanym. Nieśmiało tylko wypada zauważyć, iż taka sytuacja postępuje autentycznie chłopów-poetów, o których jeszcze będę mówił. Owa nonszalancja, z jaką się nobilituje piszącego byle co osobnika na twórcę ludowego, nie ma chyba podłoża w skłonności do lekceważącego klepania pisarzy ludowych po plecach, traktowania ich jako doborodniejszych głuptasków, których literackie zajęcie i tak nie posiada większego znaczenia dla kultury. Zadziałaby tu jakiś wredny inteligentki kompleks, znajdujący także ujście podskórne w popularnym ongiś powiedzeniu: puść chłopca do kancelarii, to ci atrament wypije. Sytuacja mało prawdopodobna, idzie raczej o brak

chęć tylko wyodrębnić, praktycznie postawić, i to głównie w perspektywie przyszłościowej.

Już sam termin — pisarstwo ludowe — sugeruje, że mamy do czynienia z czymś różnym (co nie oznacza, iż przeciwstawnym) od pisarstwa, nazwijmy to, ZLP-owskiego, różnym w sensie bardziej socjologicznym, a dopiero potem psychologicznym i w końcu oczywiście literackim. Zwykle myśli się o tekstach czy autorach w jakimś sposób, często b. luźny, związanych ze wsią, co jest bodaj jedyną obowiązującą kategorią, oczywiście zbyt workowatą. Chodziliby więc przede wszystkim — cały czas myślę na głos — o wydzielenie tej poezji, która nawiązuje do bogatej tradycji pieśni gminnej czy w ogóle literackiego folkloru. Ten ciągle jeszcze powstający folklor lub twórczość doń zbliżoną reprezentują dziś na wsi nie tylko ludzie starzy, lecz również młodzi (np. Kościelniak-Czubernatowa), którym z takich czy innych względów nie dane było przesiąknąć upowszechniającą się kulturą

# Broniąc Doktora...

Maria Bechcyc-Rudnicka

**J**UBILEUSZ 45-lecia pracy scenicznej Aleksandra Aleksy, który Lublin obchodził w Dniu Teatru, był okazją na miarę talentu i zasług świetnego aktora. Uroczystość upłynęła w nastroju radosnego podniecenia, bez smugi melancholii, towarzyszącej nieraz jubileuszom o tak wysokiej liczbie lat. Nic dziwnego, Aleksy wstąpił na deskę sceniczną bardzo wcześnie, a więc 45-lecie zastało go jeszcze w pełni sił twórczych. Toteż gdy przed jubileuszem przyszło do wyboru roli, w której wystąpi, wielki diapazon możliwości artystycznych jubilatą znacznie ułatwił sytuację. Krążyła pogłoska, jakoby Aleksy miał ochotę zagrać rolę tytułową w „Ojcu” Strindberga, atoli rzecz nie mieściła się w tegorocznym układzie repertuaru. Po dłuższych delibatach wybór padł na dramat Tadeusza Rittnera „W małym domu”. Zastanówmy się tedy nad trafnością tego wyboru z punktu widzenia potrzeb i upodobań dzisiejszego widza — skoro omawiamy już spektakl w nastroju dnia roboczego.

Rittner natomiast, poeta w „Dziwnych zamkniętych”, był pisarzem „gniewnym” w „Małym domu”. Jego utwór może oprzeć się zapomnieniu dzięki cechom zupełnie odrębnym.

Gniewny był bardzo. Proszę zwrócić uwagę na fakt, że w tym „małym domu” nie ma przecież ani jednej sympatycznej postaci. Sam autor faworyzuje Marię, „przypadkową” żonę Doktora, która znalazła się poza nawiasem życia miasteczka. Rittner demonstrował tu przedstawicieli typowo mieszczańskie inteligencji małopolskiej, klasyczny komplet do preferans: sędzia, notariusz, doktor, aptekarz czy prowizor. Wraz z małżonkami. Jest to prowincjonalna inteligencja galicyjska, urobiona na modłę austriacką, ugodowa, zgnuszyła w rzekomo liberalnym reżimie c.-k. monarchii. Celną satyrę pisarza na prowincjonalnych notabli zachowa aktualność zawsze i wszędzie, gdziekolwiek i kiedykolwiek znajdują się wydeptane lokalne wielkości, wynoszące się ponad ogół społeczeństwa.

Ponury jest obraz ukazany w „Małym domu”. Co do odosobnionej Marii, nie spełnia ona zadania

hatera pozytywnego (z pewnymi defekcikami, żeby nie wypadł schematycznie).

Ale ten ożenek z Marią... Mój Boże, niejednemu intelektualistycznie zdarzyło się ożenić ze swoją — gospołą. W większości wypadków taka żona z awansu smacznie gotowała, czysto prala białeliznę, zaczęła hodowała dzieci. I żadnych strzałów nie było. Zresztą namiętność Doktora do Marii bynajmniej nie „wychłóda”. Cała bieda w tym, że Maria została ulepiona z młodopolskiej gliny literackiej. W gruncie rzeczy, paszeczki le mot — flejtuch, zaniedbujący prawem kaduka dom i dziecko, coż kiedy Rittner patrzy na nią okiem poety. W zestawieniu z takim wyдуманym tworem Doktor, żyjący na tym świecie, mężczyzna z krwi i kości, może wyglądać na gruboskórno brutalną. Temu trzeba jakoś zaradzić, to trzeba zdecydowanie sprostować.

Wydało mi się, że można by osiągnąć pożądaną korektę przez bardziej ironiczne potraktowanie fajtlapy Sielskiego (gra go Piotr Brzeziński), przez sugerowanie większego dystansu pomiędzy Doktorem a innymi notablami, przez wyraźniejsze uwydatnienie kwestii dotyczących działalności Doktora, by widzowi mniej nasuwało się wrażenie, że doktor nie myśli o Marii, niż wniosek — że myśli o ludziach. Sądząc, iż artyście tej klasy, co Aleksy, interpretacja aktualizująca postać powinna odpowiadać. Jest ciekawsza od roli męża-rozpacza, mordującego żonę, którą sam zaniedbał z jakichś małoświatkowych względów.



T. Rittner „W małym domu”. Zofia Stefańska (Wanda), Maciej Polaski (Sędzia), Adela Zrzybłowska (Sędzina), Zbycho Szczapiński (Jurkiewicz), Maria Karchowska (Maria), Aleksander Aleksy (Doktor), zwrócony plecami do widowni — Piotr Suchora (prowizor Kosicki)

Jaką szansę przetrwania mają jego (Rittnera) najlepsze sztuki, to dosyć trudno zgadnąć — pisze Zbigniew Raszewski w przedmowie do wydanych przez PIW Dramatów T. Rittnera.

Otóż wydaje się, że obecna koniunktura teatralna pozwala raczej na prognozę optymistyczną. Raszewski stawiał sobie powyższe pytanie w r. 1966, następne zaś lata niejako usankcjonowały nawroty do dramaturgii młodopolskiej, a z drugiej strony i „realistyczna rodzajowość” przestała odstręczać reżyserów i krytyków od sztuk pokrewnych dramaturgii Rittnera.

Ale właśnie co jest jej „pokrewna”? Niemal tradycyjnie, od lat kilkadziesiąt, przyjęto mówić o wpływie, jaki niby to wywarł na Rittnera m.in. Antoni Czechow. Wystarczy jednak głębsze wczucie się w istotę dramaturgii Czechowa, by przyjąć do wniosku, iż mogą tu istnieć analogie tylko w intencjach, nie w efekcie.

Owszem, nietrudno znaleźć np. w pierwszym akcie „Małego domu” pewne podobieństwo w prowadzeniu dialogu, owo umiejętnie podchwyczone czachowowskie mijanie się nurtów myślowych, świadczące o wzajemnym odizolowaniu postaci, o ich osamotnieniu. Ale to osamotnienie jest u Rittnera całkiem innego gatunku niż u Czechowa.

Czechow, zwłaszcza w „Wielkim sędzi” i „Trzech siostrach”, pokazał wysublimowanie inteligencji rosyjskiej w przełomowym okresie dziejów, jej nieporadność, niezdatność do walki o „lepsze życie”, o którym marzy dla ludzkości — szlachetnie, lecz mgliście. Czechow traktował swoje postacie ze współczuciem wielkiego humanisty. Stąd aura poetycka jego sztuk, zapewniająca im długi żywot sceniczny.

„jasnego promyka”. Rittner wymaginał ją sobie chyba pod wpływem Ibsena, ale po młodopolsku, w wersji galicyjskiej. Daleko jej do ibsenowskiej Nory. Norweżka Nora była, wiemy, nietuzinkową indywidualnością — zbuntowaną przeciwko tradycyjnemu przykazaniu dla kobiety, które później, w Niemczech sformułowano trywialnie jako „drei K: Kirche, Kinder, Küche”. Maria zaś jest po prostu za głupia na jakiś świadomy bunt, Marię poniosło prymitywne marzenie o miłosnej parze z oleodruku, o gołąbkach i splecionych dloniach z kartki imieninowej.

Ale niestety Maria jest ukochanym dzieckiem Rittnera. Pisarz robi z niej „Naturweib”, ofiarę w złe ucywilizowanym świecie. A to rzutuje fałszywie na postać Doktora. Ktoś z krytyków ma mu nawet za złe, że z dziewczyną, którą uwiodł za czasów studenckich, ożenił się na skutek „mieszczańskiego pojęcia o honorze” (a niech by i dzisiaj romansowi młodzieńcy byli w tym względzie „mieszczańskimi”).

Teatralna relacja Doktor — Maria wymaga dziś głębszego przeświadczenia. Bo, może mimo intencji autora, Doktor jest przecież tak naprawdę postacią pozytywną. On jeden w całym inertywnym światku „inteligentkim” tamtej Piplidówki uprawia swój zawód ze szczerym zamiłowaniem, nie skąpiąc wysiłku i czasu. Chce nadto coś zrobić dla miasta. Dlaczego zaraz „z pychy”? Robi z twórczej ambicji, na którą ma pokrzykcie. Jest inteligentny, zdolny, przerasta otoczenie, a nie „stoł samotny w tłumie”, jak by tego sobie życzył myślicy po Ibsenowsku nauczyciel Sielski. Przeciwnie — „rozdaje się ludziom”. Zwykli ludzie go lubią, ufają mu — robotnik Szymon i wszyscy, co krzyknął na rynku „jak wariaty”, kiedy został wybrany na burmistrza. I byłby na pewno dobrym „ojcem miasta”. A więc jest to wypis-zwymaluj nasz model bo-

Maria Karchowska gra żonę Doktora w konwencji realistycznej stosownie do ogólnej koncepcji spektaklu. Gdyby się jednak dokonało korekty postaci Doktora, można by było, zachowując na ogół konwencję realistyczną, zaakceptować sztuczną koncepcję Rittnera i nieco postać Marii upoetyczyć (np. jej zasłużaniem w gwizdach pościągów, zapatrzeniem w dal za oknem, jak w „Moście” Szanławskego...). Uzyskało by się wówczas subtelny konflikt dwóch tonacji, dwóch, że tak powiem — krańcowo różnych poetyk związanych ze sobą ludzkich osobowości. Ale oczywiście upoetyzowanie Marii bez korekty postaci Doktora pograżyło go ostatecznie w opinii widza.

Również i scenografia (projekt Jerzego Torończyka), gdyby była cokolwiek „dekadencka”, nadałaby spektaklowi więcej stylu i aktualności formalnej. Wydało się bowiem, że rittnerowskie formalne sąsiadowanie realizmu z uduwieniami młodopolskimi może być dziś aktualne na zasadzie podobieństwa do współczesnych struktur plastycznych i dramatycznych, w których właśnie mieszanika elementów różnorodnych stanowi o nowym stylu. Przypuszczam, iż grany w ten sposób dramat „W małym domu” mógłby zainteresować dzisiaj wybrednych widzów nie mniej niż np. sztuki Pintera.

Natomiast widzę w konwencji czysto realistycznej arcydzieło Rittnera — „Głupiego Jakuba”. I zaczyna mi się wydawać, że niepoślednim byłoby pomysłem przeniesienie go na jubileusz Aleksandra Aleksy, który gra znakomicie Szambelana.

Leż wróćmy do realistycznego spektaklu „Małego domu”.

Maria Wiercińska, doświadczoną reżyserkę, profesora PWST w Warszawie, zna Lublin nie od dzisiaj. Pani Wiercińska wyreżyserowała w Tea-

POWTOŹKA Z POLSKIEGO

# Młoda Polska

Urszula Kowalska

**T**ERMIN ten, użyty po raz pierwszy przez Artura Górskiego w cyklu artykułów programowych publikowanych w „Życiu”, nie był jedyną nazwą określającą tendencje światopoglądowe i estetyczne końca XIX i początku XX wieku. Występował on obok określeń takich, jak modernizm, dekadentyzm, symbolizm i romantyzm. Nazwy te nie były jednoznaczne; odnosiły się wprawdzie do zjawisk sobie bliskich, ale różniły pod względem zawartości treściowej.

Modernizm (termin używany w programach i krytyce literackiej końca XIX w.) służył do określania nowych cech i tendencji literatury bez odnoszenia ich do jakiegokolwiek kierunkowego Modernistą był artysta, rozumiejący założenia nowej sztuki i przeciwstawiający się kulturze mieszczańskie. Nazwa „dekadentyzm” w Polsce, w przeciwieństwie do jej znaczenia w użyciu francuskim i niemieckim, była używana jako określenie pejoratywne. Na Zachodzie przykładem dekadencji był gasnący świat rzymaki z jego sceptycyzmem, niechęcią do militarystyki, ze skłonnościami do wyrafinowanego korzystania ze wszystkich przyjemności życia i z jego dyktantyzmem. Buntujący się przeciw kulturze mieszczańskie artyści przeprowadzali analogie między nim i swoimi czasami. W Polsce nazwy tej używali głównie przeciwnicy nowych kierunków, określając nią schyłkowość, rozpęd i zgniliznę.

Nazwa „neoromantyzm” pochodzi od interpretatorów prądu o nastawieniu historyczno-literackim, którzy wskazywali na podobieństwa między sztuką romantyczną, jej skłonnościami do indywidualizmu, do liryzacji wypowiedzi oraz swobody w wybieraniu form i konwencji i podobnymi zjawiskami w literaturze końca wieku. Termin ten zyskał na popularności po wystąpieniach Wyspiańskiego, którego twórczość stała się zasadniczym argumentem na rzecz takich właśnie analogii.

Sprawa symbolizmu jest bardziej skomplikowana; termin ten i określane nim zjawiska miały bowiem odmiennie niż dziś znaczenie w świadomości estetycznej modernistów.

Symbolistami nazywali siebie przedstawiciele francuskiej, a potem i belgijskiej szkoły poetyckiej, którzy zaznaczyli jednak, że szerzej pojmowany symbol jest właściwością każdej poezji, gdyż nie znosząc abstrakcji, opiera się ona najchętniej na obrazie. Teoria symbolizmu służyła uzasadnieniu, niezwykłości, utrwaleniu tego, co wydawało się niemożliwe do ujęcia, ulotne i nieokreślone. Konkretny obraz służył do ukazywania bezkreślonych widoków ukrytych, nieskończonych, wiekistej, niezmiennej i niepojętej istoty rzeczy (Miriam). Poza metafizycznymi właściwościami symbolu, przypisywano mu także dużą rolę w ewokowaniu nastroju, szczególnie tam, gdzie stosowano synestezję jako uprzywilejowany środek wyrazu.

Dzisiejsze rozumienie symbolu i symbolizmu sprowadza się przede wszystkim do określonej techniki artystycznej, w której zamieniano bezpośrednią wypowiedź liryczną i próbę oddania stanów emocjonalnych na obraz stanowiący ich równoważnik. Obraz taki wskazywał na rzeczywistość poza sobą samym, był wieloznaczny i trudny do intelektualnego uogólnienia. Symbol stanowił połączenia słowa i obrazu, które pozwalało na pośrednie wypowiedzenie zamierzonych przez artystę treści. Przykładem może być choćby Chochół z „Wesela” czy rozdział sossna z zakończenia „Ludzi bezdomnych” Żeromskiego.

Prąd kulturalny i literacki, nazywany umownie modernizmem lub Młoda Polska, zamyka się w latach 1890—1918, mimo że jego heroiczną przypadła na czas przed rokiem 1900. Wtedy bowiem formuła się postawy światopoglądowe i estetyczne pokolenia, krystalizują się zasadnicze cechy i tendencje okresu. Prąd ów nie był jednorodny ani jednoznaczny; jego cechą wspólną była niechęć do burżuazyjnej kultury, mieszczańskiego systemu wartości, do filisterskiej moralności i norm obyczajowych. Ponieważ pozytywistyczny materializm przyrodniczy okazał się ideologią na usługach burżuazji, moderniści szukali innych perspektyw światopoglądowo-filozoficznych, głównie w filozofii Schopenhauera i Nietzschego. Nie trzeba chyba dodawać, że przemyslenia obu filozofów opierały się na przesłankach pozaracjonalnych.

K. Wyka zauważył, że Młoda Polska wypracowała dwa wielkie modele kultury i literatury. Pierwszy z nich stanowiła literatura służebna wobec zadań życia narodu, pozbawionego niepodległości, która czerpała swoje uzasadnienia z tradycji romantycznej. Był to wzór literatury zaangażowanej w problematykę rdzennie polską i podporządkowanej ideom narodowowyzwoleńczym i społecznym. Wzór drugi pochodził z inspiracji ogólnoeuropejskiej, narzucającej jej poszukiwania światopoglądowe i estetyczne. Oba modele posługiwały się w zasadzie tym samym zasobem środków artystycznych wyrazu, choć uprawiana problematyka znacznie je między sobą różniła. Najpełniej dokumentuje ten podział wskazanie na dorobek Wyspiańskiego i Przybyszewskiego.

W modelu literatury służebnej wobec zadań narodowych należało umieścić (rezygnując z ujęcia chronologicznego i różnic dotyczących indywidualnych cech piśmarstwa poszczególnych twórców oraz ich koneksji z pozytywizmem i naturalizmem) dorobek Wyspiańskiego, Żeromskiego, Reymonta i Orkana. Obok zjawisk natury literackiej spotykamy w owym czasie duże ożywienie życia kulturalnego, przejawiające się m.in. w nasileniu ruchu teatralnego (również rozwój zespołów i teatrów ludowych), w publicystyce i w myśli społeczno-politycznej (np. S. Brzozowski).

Model drugi, podejmujący hasła ogólnoeuropejskie, rozpoczął samookreślanie od wyrażenia buntu przeciw mieszczańskiemu światu, w którym główną wartością stanowił pieniądz, przeciw pozytywistycznemu utilitaryzmowi literatury służącej interesom filistrów oraz burżuazyjnym kanonom obyczajowym i moralnym. Moderniści, wchodzący w życie ze świadomością bankructwa dotychczasowych idei, uznawali jednak pewną wartość bezsporną i niepodważalną: była nią sztuka. A. Górski pisał: *Literatura to Pani nasza, Ordynieniczka nasza...*

Szczególny kult dla sztuki znalazł swój wyraz w kregu „Chimery” — w twórczości Miriama i W. Rolicza-Liedera. Przykłady można mnożyć.

Bunt modernistyczny przejawiał się nie tylko w dziedzinie myśli filozoficznej i estetycznej, w epatowaniu burżuazją „gorszącym” sposobem bycia, ale również w wyborze podejmowanej problematyki. Po raz pierwszy literatura polska wypowiada się na temat erotyki (Tetmajer, Przybyszewski), po raz pierwszy podejmuje te problematykę niemal programowo, wyszukując często środki wyrazu przyjęte od naturalistów. Konstruuje ona również eschatologiczne wizje świata, ów „dzień gniewu”, będący symbolem kosmicznego zniszczenia. Motyw ten, podejmowany tak często (Kasprowicz, Żuławski i inni), nie był jedynie efektywną konstrukcją obrazową, pozwalającą na ekspresyjne kształtowanie dzieła, był również świadectwem postawy artysty wobec świata.

W literaturze młodopolskiej dominowała liryka; czym można tłumaczyć owo „rozbicie się bani z poezją”? Jakkolwiek liryka tamtych czasów była bogata i różnorodna pod względem formalnym i treściowym, rozpoznając potrzebę manifestowania indywidualizmu, dawała możliwość wypowiedzenia owego, tak akcentowanego, „ja”. Ponadto, ze względu na uprzywilejowanie poetyckiego słowa, pozwalała oddawać ulotne nastroje, stany emocjonalne i piękno krajobrazu. Synkretyzm kulturalny prądu i jego skłonność do amorfizmu gatunkowego sprawiły, że również w dramacie i prozie zaznaczyła się wyraźna subiektywizacja świata przedstawionego i zmienił się styl wypowiedzi.

Nie sposób wliczyć w tym miejscu wszystkich osiągnięć Modelu Polskiego, która spowodowała w dziejach naszej literatury gwałtowny przewrót, szczególnie w dziedzinie liryki i dramatu. Dosyć powiedzieć, że mimo pewnych zjawisk, określanych dzisiaj jako negatywne (rozwichrzenie kompozycyjne utworów, wielosłowie, zbytnia skłonność do neologizmów i muzyczności języka), niektóre koncepcje (np. dotyczące teatru) stały się właśnie wywodzą i trwały po dzień dzisiejszy. Z dorobku moderny korzystać w początkowym okresie poeci dwudziestolecia, tacy jak Tuwim, czy Iwaszkiewicz i tamtej tradycji wyrósł tytan polskiego teatru — Leon Schiller.

# Strzały przez ścianę

Konrad Bielski

żona, ani rodzice — na pewno ktoś z dalszej rodziny. Wiem również, że z powodu ocieplenia się i zwłoki w udzielaniu pomocy oskarżonemu miałem bardzo niewiele czasu na przygotowanie obrony, a w postępowaniu doroząnym terminy gonią terminy i czas biegnie dwakroć prędzej.

Skoro już przystąpiłem do pracy, z miejsca natknąłem się na przeszkodę, zdawałoby się nie do pokonania — była nią postawa oskarżonego. Chyba nawet kompletny laik zrozumiał, że tutaj jedyną drogą dla obrony było ustalenie motywów czynu i udowodnienie, że oskarżony działał pod wpływem silnego wzruszenia. Bez jego czynnego współdziałania i wydatnej pomocy jakże trudno było to osiągnąć. A tymczasem oskarżony się zaczął. Stał okoniem.

Był to mężczyzna czterdziestoparoletni, ale już bardzo wyniszczony fizycznie, jak to się często zdarza u ludzi ze wsi, ciężko pracujących przy niedostatecznym odżywianiu. Wzrost średni, blondyn, o rysach przeciętnych, nieczym się nie odznaczający. Tylko opuszczone kąciaki ust, przekrwione, niespokojnie latające oczy i jakiś tik w okolicach lewej skroni świadczyły o wielkiej pobudliwości i dużym napięciu nerwowym. Mimo to jednak panował nad sobą. Mówił spokojnie, powoli, z rozmysłem. Czy był inteligentny? Chyba, jak na wieśniaka, — raczej tak. Wyrażał się poprawnie, dobrym językiem.

Od razu wstępnie powiedział mi, że obrona jest mu niepotrzebna. Popiełnił wielką zbrodnię, wie, jaka czeka go kara, niczego się już w życiu nie spodziewa. Śmierć przyjmie spokojnie, jako zasłużoną konsekwencję swych czynów. Z góry uprzedza, że ani obrońcy ani sądowi nic ponadto nie wyjaśni.

Wobec tego zacząłem prowadzić małe dochodzenie na własną rękę. Trochę wydobylem z akt sprawy, coś niecoś dowiedziałem się od rodziny, sporo od sąsiadów, których specjalnie zaprosiłem na pogawędkę i ostatecznie oczom moim przedstawił się obraz tak ciekawy i niesamowity, że wprost trudno było w to wszystko uwierzyć. Tym bardziej, że intryga, akcja i bieg zdarzeń były tak dalece nietypowe dla tego środowiska, że to jeszcze pogłębiało zdziwienie.

Na przelomie naszego wieku żył i tworzył znany pisarz francuski Pierre Louys, który jeszcze przed pierwszą wojną światową napisał głośną książkę pt. „Kobieta i pajac”. Przedstawił w niej wizerunek niewiasty pięknej, przewrotnej, perwersyjnej i złej, która wykorzystując już nawet nie miłość, lecz zniechęcającą namiętność mężczyzny, potrafiła z niego uczynić pajaca, postusznego jak za pociągnięciem sznurka wszelkim jej ekstrawagancjom i kaprysom, niszcząc jego charakter i osobowość. Powieść ta była nawet przerobiona na scenę i laury w głównej roli zbierały u nas najznakomitsze aktorki z Jadwigą Mrozowską na czele.

Otóż właśnie Józef O. był takim pajacem w rękach swej ślubnej żony. Wydaje się to niewiarygodne — a jednak prawdziwe. Oczywiście w innej scenerii i wśród odmiennych dekoracji. Żona Józefa O. nie odznaczała się błyskotliwą urodą, od przeciętnych wieśniaczek różniła się tylko większą dbałością o wygląd zewnętrzny i kondycję fizyczną. Miała w ruchu coś kociego, miękką, kołyszącą chód, głos niski o głębokim brzmieniu i nieco wyzywające, pewne siebie spojrzenie. Oczy szare.

Otóż w tej kobiecie zakochał się bez pamięci mój klient, ogarnęła go jakaś chorobliwa obsesja — weszła mu w krew, jak to mówią w mieście, — zauroczyła, jak to mówią na wsi. I ten czar trwał lata całe.

Ale trafiał fatalnie. Już konkury, które trwały bardzo długo, obfitowały w mnóstwo przykrości i upokorzeń. Zawarcie małżeństwa nie poprawiło sytuacji. Skoro żona

orientowała się w mocy, którą ma nad mężem, a kobiety prędko i trafnie oceniają sytuację, postępowanie jej względem niego było po prostu nikczemne. Naraziła go na posmiech, urządziła niesamowite sceny zazdrości, podczas gdy sama chwaliła się, że go zdradza. Czy tak było naprawdę, czy też tylko mówiła to, aby go podrażnić i upokorzyć — trudno orzec. A w międzyczasie, choć bardzo rzadko, potrafiła okazać mu tyle ciepła, czaru i namiętności, że zapomniał o wszystkim i pogrążył się jeszcze bardziej. Urodziła mu dwoje dzieci, których nie cierpiał — bo cięta i wczesne macierzyństwo pozbawiało go możliwości fizycznych kontaktów, a później był o nie zazdrosny, bo żona jednak okazała się matką dobrą i troskliwą. Trudno było i prawie niemożliwe ustalić wszystkie fakty i zdarzenia w życiu tego dziwnego stada, tym bardziej, że sąsiedzi, a nawet sąsiadki, z czasem przestali się nimi zajmować. Później przyszyła wojna, okupacja i osobiste tragedie o posmaku erotycznym siłą rzeczy zostały wypchnięte poza nawias ogólnych zainteresowań.

Po wojnie życie małżeństwa O. stawało się coraz gorsze. Klóćli się i godzili. Rozchodzili i powracali do siebie. Oczywiście w dalszym ciągu mąż był osobą bierną i ostatecznie zawsze czynił to, co chciała żona. W końcu po dłuższym rozstaniu i gniewie postanowili definitywnie się rozjść. Właśnie sądy powszechne przejęły sprawę rozwodową. Na początku uradzili pojechać do adwokata do Lubartowa, by tam zasięgnąć porady jak dalej postąpić. Pojechali razem na jednej furmance, zresztą wspólnie. Do miasta przybyli wcześniej i wtedy z jej inicjatywą wstąpił do gospody na śniadanie. Pobyt tam trwał bardzo długo i zamienił się w czule spotkanie dwójga kochanków, tak jakby dziś dopiero się poznali i pokochali. Ona umiała to zrobić. W końcu ustalono, że już nie warto iść do adwokata, że jeszcze noc dzisiejszą spędzą razem i kilka następnych, a potem się wszystko jakoś ułoży.

Józef O. nieprzytomny ze szczęścia, wsiadł do wozu i pojechali do domu. W drodze nie mówili. Gdy wyprzeżnął i nakarmił konia i wrócił do izby, z przerażeniem spostrzegł, że żony nie ma. Wybiegł na podwórze wołając ją bez skutku. Wtedy, tknięty złym przeczuciem, pobiegł na drugi koniec wsi, gdzie mieszkała jej przyjaciółka i gdzie zwykle uciekała po kłótniach i awanturach w domu. Przeczucie nie omyliło. Żona była wewnątrz wraz z licznym wesołym towarzystwem. Chciał wejść — nie wpuszczono go do środka. Wtedy zaczął dobijać się, a potem błagać i prosić, by go wpuszczono. Odpowiadały mu tylko śmiechy i kpiny. Bez czapki, z gołą głową, bez wierzchniego okrycia, na deszczu i chłodzie stał tak pod drzwiami, na przemian błagając i grożąc. W końcu sama żona wykrzyknęła, żeby się wynosił, że tej nocy będzie spać z kim innym i do niego nigdy już nie wróci.

Po tych słowach Józef O. udał się prosto do sąsiedniej wsi odległej o cztery kilometry, po karabin, który miał tam schowany. Wrócił po dwóch godzinach i już bez słowa, bez żadnego ostrzeżenia, zaczął strzelać przez ścianę do zamkniętych tam ludzi. Strzałów było kilkanaście. Rezultat straszny. Trzy dziewczyny, z których najmłodsza miała osiemnaście lat, a najstarsza dwadzieścia, leżały nieżywe, podziurawione kulami. Dwóch mężczyzn i jedna starsza kobieta krwawili ciężko ranni. Tylko ta jedna, dla której były przeznaczone wszystkie kule, nie została nawet drasniona.

Uzbrojony ładunkiem tych wiadomości poszedłem do więzienia. Spokojnie wysłuchał moich rewelacji, — niczemu nie zaprzeczył, powiedział, że mógłby wiele dodać, ale nie

chce i bronić się kosztem żony nie będzie. Miał jeszcze jedną kulę w magazynie z wyraźnym przeznaczeniem, ale z karabinu łatwo zabijać innych, a bardzo trudno siebie. Zresztą śmierć i tak go nie minie.

Gdy już odchodziłem zatrzymał mnie jeszcze i drżącym głosem zapytał, czy żona interesuje się jego losem. Po odpowiedzi negatywnej z dużym wahaniem i nieśmiało znowu spytał, czy ona już żyje z kim innym. Odrzekłem, że nie mi o tym nie wiadomo i podrażniony ją z kolei zapytałem, czy nie ma jakichś poleceń dla dzieci i rodziców. Popatrzył na mnie ze zdziwieniem i odpowiedział: żadnych.

Przyznałem się szczerze, że zatraściłem się ze zdziwienia i oburzenia. Ten człowiek w takiej chwili nie pomyślał o tych dziewczynkach, które pozbawił życia, o swych dzieciach, którym zostawił nazwisko zbrodniarza, o rodzicach — a tylko o tym, z kim śpi ta kobieta.

Rozprawa sądowa była krótka. Oskarżony odmówił wszelkich wyjaśnień, co wywarło na ogół złe wrażenie. Świadkowie, których łączyły węzły pokrewieństwa z podsądnym, skorzystali z prawa odmowy zeznań. Żona też nie stała jej było na wypowiedzenie choć jednego słowa w obronie tego człowieka. Zachowywała się zupełnie obojętnie. Nie poprosiła o widzenie. Siedziała jak zwykły widz na sali rozpraw i po wyroku odjechała spokojnie do domu.

Wygłosiłem jedną z najbardziej żarliwych obron w moim życiu. Cytowałem literaturę, książki i sądy mądrych ludzi, zrobiłem cały wykład psychologii. Jednak bezskutecznie.

W aktach sprawy znajdował się makabryczny dowód rzeczowy: liczne fotografie pomordowanych dziewcząt. Młode, zgaszone życia. I na to przez cały czas rozprawy patrzyli sędziowie. I tego wrażenia nie potrafiłem zatrzeć. Drugą przeszkodą nie do przewyżyczenia okazała się okoliczność, że oskarżony po karabin szedł tak daleko i że przez te dwie godziny powinien ochłoniąć i uspokoić się. A więc nie działał pod wpływem wzruszenia, lecz z premedytacją. Pogląd niesłuszny, albowiem nie ma odmierzonego czasu na wygaszenie wzruszenia, które trwa z tą samą siłą nieraz nie tylko przez szereg godzin, ale nawet dni. Ale sąd był odmiennego zdania.

Narada nad wydaniem wyroku trwała sześć godzin. Narada tajna, sędziowie przez cały czas nie opuszczali swego pokoju. Jednak ściany mają uszy i coś niecoś przedostało się na zewnątrz. Moja mowa obrończa posłała jednak ziarna wątpliwości. Zdania były podzielone, a tutaj w sądzie powszechnym, wyrok śmierci musiał zapaść jednoznacznie. W końcu zgodzono się na kompromis. Orzeciono karę śmierci, lecz jednocześnie sąd poparł prośbę obrony do Głowy Państwa o zmianę w drodze łaski kary śmierci na dożywocie.

Jednak czynnik najwyższy do prośby się nie przychylił, by tragicznie przychylił się do tego znowu te magiczne fotografie. Wyrok wykonano.

Oskarżał doświadczony prokurator, człowiek rozumny, o wnikliwej inteligencji. On zrozumiał wszystko do dna. Lecz nie mógł dać temu głośnego wyrazu, gdyż jego stanowisko służbowe stawiało go na innej pozycji. W prywatnej rozmowie przyznał mi całkowitą rację.

Był z urzędu podczas wykonania wyroku i podzielił się z mną wrażeniami. Skazany zachowywał się spokojnie, żadnych życzeń nie wyrażał. Ostatnie jego słowa były: umieram z obrazem jej przed oczyma. Brzmi to jak finał bardzo naciąganego melodramatu, a jednak tak było naprawdę.

Może miał trochę racji Oskar Wilde kiedy mawiał, że nie sztuka życie, ale życie nasładowe sztuki. Czasami dość nieudolnie.

## Konstantin Konstantynow

# Brugia

W dniach 9-11 maja odbywała się w Lublinie Dni Kultury Bułgarskiej. Bogaty program obejmuje imprezy artystyczne (koncerty, recytacje wierszy poetów bułgarskich), odczyty o życiu gospodarczym, kulturze, oświacie i sztuce tego pięknego kraju, quiz na temat wiedzy o Bułgarii, projekcje filmów oraz wystawy fotograficzne, książek, wyrobów ludowych i architektury.

Z tej okazji zamieszczamy niżej reportaż poetycki jednego z wybitnych współczesnych mistrzów prozy bułgarskiej. Cecha charakterystyczna twórczości Konstantynowa są małe formy, w których piękny, prosty styl pisarza umiejętnie łączy się z frazologicznym bogactwem języka bułgarskiego. Tłumaczenie polskie niniejszego reportażu otrzymaliśmy z Ambasady BUL.

ZARNA równina, usłana kominami i osadami, przesuwa się za szybą pociągu. Niskie, wilgotne i zasnuwane dymem niebo zamyka widnokrąg. W naszych uszach jeszcze huca wiatki fale Morza Północnego. W oczach jeszcze miga opustoszała promenada Ostendy z jej zamkniętymi na klucz hotelami jak pałace. A wokół — znowu smutne pola Flandrii, pobrużdżone drogami, pocięte kanałami. Nieruchoma woda martwo pobłyskuje pod gasnącą poziłą zimowego popołudnia. Niby bezkresna, obypływana sadzami i porzucona laguna, pośród której jedynie echo życia budzi gwizd maszyn.

Po godzinie pociąg zatrzymuje się przed nowym, jednakże w stylu

dawnych epok, dworcem Brugii. W tym samym momencie z przeciwnego kierunku nadjeżdża inny pociąg. Tłum robotnic wysypuje się z wagonów, wesoły, gwarny, bezceremonialny, wchłania podróżnych wypycha ich na mały plac za dworcem. Wkrótce rozpięcha się, a zgiełk ustaje, wszystko wokół ogarnia cisza...

I nagle naszym oczom ukazuje się pociemniala, stara oknaforta. Ciasne uliczki, puste i czyste, skrzęcają i toną gdzieś w zapadającym zmierzchu. Technie wilgotna, zimna i gęsta. Słychać jakieś żółte skrzypnięcia, jakby starych, drewnianych drzwi, jęczących w mroku. Długie kamienne parkany z czarnymi cieniami, okiennice w ścianach. Małe mostki, pod którymi tajemniczo chłupie woda. Jak widmo w tym sennym bezruchu przejeżdża oświetlony i szybki jeden tramwaj. W oddali dzwonnica wybiją godzinę.

Brugia, martwa Brugia Rodenbacha. Moje stopy po raz pierwszy dotykają starej kamiennej nawierzchni tego miasta. Nieznane i dalekie życie zamknięte jest za murałkami w chłodnej nocy, milczącej i zaciężonej, jak półmrok gotyckich kościołów. Przechodnie z rzadka przemykają wzdłuż murów. Małe oświetlone karczmy-bugettes gasną jedna po drugiej. Wkrótce miasteczko zaśnie na dobre.

W małym hotelu jestem jedynym podróżnym. W pustej sali jadalnej gospodarz, rudowłosy Flamandczyk,

uprzejmie rozmawia i przepija do jakiegoś komuwojżera. Zimą gości w Brugii brak. Lecz gospodarz jest zawsze jednakowo pogodny. Teraz obok rozżarzonego pieca koksowego słucha jakiejś długiej historii, cmoka bez ustanku i dziwi się „Tiens! Tiens!...” Potem, dowiedziawszy się o nowym gościu, cmoka jeszcze bardziej zdziwiony: „Tiens! Tiens!... C'est loin, n'est ce pas, Sofia?... Trois jours par chemin de fer?... Tiens! Tiens!...” Po ciasnych, skrzypiących schodach wdrapując się na górne piętro, prowadzony przez patrona niosącego świecę. Pustka i mrok panuje we wnętrzu starej kamiennej budowli. Obszerny pokój z oknem na tylne podwórze. Jedno łóżko w środku, ogromne i czarne jak katafalk, z białymi puchowymi kołdrami na wierzchu. Jedno pomiętne lustro, które przedłuża pokój w jakiś tajemniczy i mroczny korytarz. I kiedy świeca gaśnie i cały dom milknie, świat nagle znika utopiony w zwarty i czarny niebyt z którego nie ma przebudzenia.

Rano bezsilny dzień zatrzymuje się nad szarością ostrych dachów. Plac przed pocztą ożywa, tam mieści się rynek miasteczka. Stragany warzywne, stoiska z serem i podrobami do samego południa wystawiają swój towar. Dzwonnice nawoływują się kolejno. Zakonnice w białych chustach, niby jakieś dziwne ptaki, bezgłośnie śpieszą wzdłuż ścian. Uliczki powoli pustoszeją i nagle w tej cichej godzinie, pod niskim szarawym niebem, Brugia objawia się najpełniej w swoim zadumany i nierealnym pięknie.

Owe budowle z dziwnie ściętymi dachami przepojone są atmosferą szeregu stuleci, które już znikły. Każdy dom nosi nad drzwiami swój herb rodowy, swój drążek do flagi. Do każdego z okien na pierwszym piętrze przymocowane jest od zewnątrz małe ruchome lustro: tak z domu niezauważeni patrzyli, kto nadchodzi.

Drzwi — ogromne, okute żelazem i mosiądzem. I te dziwne na-

zwiska na błyszczących płytkach metalowych: Van Huse, Van Lose, Van der Haise, które przywołują wspomnienie o odległych niderlandzkich żeglarskich, o starodawnych notablach Antwerpii, Rotterdamu i Kopenhagi, o pociemnionych płótnach Rembrandta i Van Dycka. Wygięty w łuk kamienny most rozpina się nad kanałem, inny drewniany, ze słuzami, skrzypi u skrzyżowania dróg. Łodzie przycumowane, jest ich mnóstwo, kołyszą się w gęstej wodzie, jak stado bezradnych zwierząt. Zapach mułu i woskowych świec prezentka nieruchome powietrze. Technie agoni, w której miasto to gaśnie już od trzech, czterech wieków...

A była kiedyś Brugia dumną stolicą Flandrii, kościelną i świeckim ośrodkiem całej tej północnej krainy. Niezliczonymi kanałami płynęły statki z towarami i skarbami z dalekich krajów. Zapelniała się wielkie magazyny z towarami dla Anglii Wenecji i Indii. Stocznie okrętowe zastłaniały niebo siecią swoich rusztowań, z ciemnych warsztatów szły dostawy najwykwintniejszej porcelany, filigranowych szkieł i kryształów. Jako brama do morza północnych, Brugia nieraz drżała w mrocznym blasku średniowiecznych zdobywców. Tu płonęły okrutne ognie fanatycznego katolicyzmu i ostro zwalczali się antoileści Kościoła. Po kamiennych uliczkach przechodziły oddziały hiszpańskich siepaczy księcia Alby. Z tych placów wyruszało do świętych miejsc, całe zakuć w żelazo, nieustraszeni rycerze Dziewicy. Z głębokich okien, ostoiętych przepięknymi bruskami koronkami, zegnaly ich omiłowujące, skute pasami cnoty małżonki. A każdego dnia świętego, przy akompaniamencie wszystkich dzwonoń kościelnych, niekończące się procesje z chorągiewkami, kadzielnicami i świecami, z Madonną i Dzieciątkiem, defilowały wzdłuż sennych kanałów miasta. Później przesunęły się stulecia, obojętne,

jedno po drugim i porwały ze sobą wszystko. Wszystko, oprócz tego dzwonienia z kościołów i cichych sanktuariów zakonnice. Dziś — kilka antykwariatów z fałszywymi starożytnościami i tanimi pamiątkami, Anglicy — turyści, którzy latem wpadają swoimi ciężkimi, sportowymi wozami na godzinę — dwie do Ostendy na plażę. A wieczorem długie pociągi z robotnikami, powracającymi z fabryk Gandawy i Brukseli.

Przez na wópół otwartą bramę w kamiennym ogrodzeniu miga błękitne podwórko, z bukszpanem i chłodniczkami ułożonym w wilgotnej głębi — klasztor z wąskimi okienkami. Dochodzi stamtąd jednostajny szmer podziemnego strumienia, ktoś odmawia długą wieczorną modlitwę. Poświata zachodu gaśnie po perłowej powierzchni kanału. Głębokie martwe milczenie spływa z wilgotnego nieba. I nagle ogarnia cię nieublagany, bezimienny, oszalamiający smutek, łapie cię za kark, dusi, głowa ptonie, ściśnięta ognistą obręczą, ziemia zapada się pod stopami, aby przytłoczyć cię na zawsze. Czujesz, że świadomość wnet cię opuści, że cisza, ząbkowana uliczką zmiążdży cię swymi kamiennymi szczykami, że leniwa woda wciąga cię jak zaczerpniętego, że ta woń relikwii, zasuszonych kwiatów przy obrazkach i wosku, która wionie z każdego kąta, zatrutwo twoje serce i powoli, lecz nieodwracalnie wstrzymuje jego bicie.

I wtedy, ostatnim wysiłkiem, łapięsz oddech i pędzisz jak szalony na małą stacyjkę, gdzie gwizdzą gotowy do odjazdu pociąg, gdzie szynny dzwonią i koła stukają, zabierając cię gdzie indziej, znowu po ziemi szerokiej, do gwaru, do ruchu i zmagania, tam daleko, gdzie tętniące i wspaniałe życie.

# Funkcja forma i...

**P**IERWSZA w Lublinie ogólnopolska wystawa form przemysłowych powinna zainteresować dostojnie wszystkich. Znajdują się na niej przedmioty spotykane na co dzień, organizujące nasze życie, związane z nami tak mocno, że wykluczenie ich z ludzkiego środowiska groziłoby katastrofą. Są to bowiem przedmioty posłuszne, wykonujące za nas wiele pracy i pozwalające pełniej uczestniczyć w świecie. Nie wyobrażamy sobie cywilizacji bez maszyn. To oczywiste, a z każdą następną generacją poczucie naturalności istnienia owej strefy przedmiotowej będzie pełniejsze.

Zaskakuje przy tym łatwość, z jaką przyjmujemy każdy nowy wynalazek techniczny, prawie mówiąc, nie nas w tej materii zadziwić nie może. Mało tego: na podstawie ilości i sprawności dostępnych przedmiotów kreśliły hierarchię rozwoju państw i kontynentów. Na szczycie tej drabiny skłonni jesteśmy lokalizować kraje u p r z e d m i o t o w i o n e, w których pejzaż dominują wielkie fabryki i miasta — zbiorniki rzeki. Następstwem takiego odczucia — szczególnie w krajach zachodnich jest fetyszym, miłość przedmiotów, pragnienie ich posiadania w ilościach często nieproporcjonalnych do realnych potrzeb, ale koniecznych dla zachowania prestiżu w danej społeczności, lub do zajęcia wyższego miejsca w tejże społeczności. Przedmiot jako wykładnik wartości człowieka — czyż może być coś bardziej przygnębiającego?!

Ale oto obserwujemy inną chorobę, spowodowaną przemysłową, a więc wielkoseryjną produkcją przedmiotów konsumpcyjnych i maszyn. Grozi nam chaos, zagubienie w tym rozrastającym się świecie techniki. II Rewolucją Przemysłową, w której uczestniczymy, rozpoczęta — jak to się zgodzi na ogół uważa — przez trzech wielkich matematyków: Norberta Wienera, twórcę cybernetyki, Johna von Neumana, autora „teorii gier”, i Claude E. Shannona, który wprowadził logikę matematyczną do techniki przykazywania informacji — w takim tempie produkuje fakty naukowe i techniczne, że na każdym kroku dochodzi do konfrontacji spadku poprzednich epok i dziesięcioleci z tym, co powstaje aktualnie. Obok komputerów — tradycyjnie liczydła, wśród nowoczesnej zabudowy — anachroniczne tramwaje, na klasycystycznych fasadach zabytkowych budynków — współczesne w swej agresywnej formie neony, obok samochodów „1969” — te z lat poprzednich... Niesamowita mieszanina kształtów, barw i funkcji przytłaczająca człowieka, nie pozwalająca mu na zintegrowanie psychiczne z otoczeniem.

Chodzi więc o to, aby uporządkować świat przedmiotowy, oprzeć ich produkcję na stałych zasadach, prowadzących w efekcie do zawiązania między nimi uchwytnej pokrewieństwa, choćby kształtów, gwarantującego coś w rodzaju stylu epoki. Świadomość tej konieczności, takiego kierunku działania stylu przy projektowaniu form przemysłowych i architektury, jest dziś powszechna, również w Polsce, czego przykładem istnienie i osiągnięcia Instytutu Wzornictwa Przemysłowego, którego pionierskiej pracy zaudziwiać należy m. in. coraz liczniej-

szy udział odpowiednio wykształconych artystów w produkcji artykułów przemysłowych.

Wystawa lubelska nie bilansuje dorobku konkretnych placówek usłугowych, jak biura projektowe, czy naukowo-badawcze. Po raz pierwszy w Polsce ma profil autorski: 50 artystów, reprezentujących ok. 150 osób związanych z spółką autorską, przedstawia 150 rozwiązań i propozycji wyglądu obrabiarek, zabawek, motocykli, aparatury pomiarowej, pralek, łysiek i widelców. Takie ukierunkowanie wystawy świadczy o rosnącym znaczeniu i roli projektantów form przemysłowych, roli do niedawna nie docenianej, czy wręcz lekceważonej. Awans społeczno-gospodarczy artystów użytkowych umożliwił odpowiednia politykę — nie cofającą się przed stosowaniem kategorii nacisków — instytucji centralnych oraz wysokie wymagania zagranicznych odbiorców polskich wyrobów przemysłowych, którzy sporo uwagi przywiązują do samej estetyki produktów. Charakterystyczne, że wśród organizatorów wystawy obok Zarządu Głównego ZPAP i jego okręgu lubelskiego, obok Ministerstwa Kultury i Sztuki, Wydziału Kultury PWRN oraz BWA — znajdują się Centralna Rada Związków Zawodowych i Biuro Współpracy z Konsumentem „Opinia”. Wyzłiliśmy już poza doraźność indywidualnych inicjatyw artystów, których powodzenie uzależnione bywało od widzimisię dyrekcji zakładów przemysłowych.

Zgrabne kształty aparatury i przedmiotów pokazanych w Lubelskim BWA nie wyskoczyły na deski kreślarskie z wyobraźni artystów, ale w momencie ukształtowania funkcji twórczej. Proces projektowania form przemysłowych determinuje żelazna zasada: funkcja, przeznaczenie przedmiotu określa jego formę, stanowi punkt wyjścia do modelowania. Nie jest to zasada nowa, choć w potoczny odczucie na taką zapewne wygląda. Sformułował ją jeszcze pod koniec XIX stulecia Louis Henry Sullivan, wybitny architekt „szkoły chicagowskiej”: „Wszystko jedno, czy chodzi o orla w locie, kwiat jabłoni, pracującego konia, rozpalający się dąb, wijącą się rzekę, pędzące chmury czy wznoszące się i zachodzące ponad tym wszystkim słońce, forma jest zawsze wynikiem funkcji i to jest zasada”.

Ta obowiązująca do dziś prawda została w sposób istotny uzupełniona: w centrum uwagi znalazły się nie tylko przedmioty, ale i zachodzące pomiędzy nimi związki, a więc struktury przedmiotowe — przestrzenne ludzkiego środowiska. Takie podejście zapewnia racjonalne kształtowanie całego otoczenia, pozwala na uporządkowanie tej sfery zgodnie z psycho-fizjologicznymi możliwościami i potrzebami człowieka.

Poza wystawą lubelską czynne są w tej chwili w kraju ekspozycje obrazujące stan posiadania w zakresie meblarstwa (Poznań), wnętrza budownictwa ogólnego (Gdańsk), wystawiennictwa (Warszawa), tkaniny (Łódź) i szkła dekoracyjnego (Wrocław). Prawdopodobnie nie pora jeszcze na urządzenie wystawy organizacji całego środowiska ludzkiego, ukazującej wymienione tu dziedziny plastyki użytkowej w ich wzajemnych relacjach.

IJK

Dokończenie ze str. 1

na inne liczyć nie można, gdy koncert symfoniczny był jedyną okazją zetknięcia się z muzyką poważną, musiał więc być przeżyciem wyjątkowym, mobilizującym świadomość do szczególnego wysiłku, godnym uczuciem przez wieczorową strój i długie przygotowania, także przecieć i psychiczne.

Jak w tych nowych warunkach realizować ambitny program istotnego upowszechniania kultury, dostarczenia przeżyć bogatszych artystycznie i intelektualnie, skłaniający odbiorcę do posuwania się trudną drogą doznań estetycznych w górę a nie w dół? Jego wybór wśród setek kolorowych okładek, jego decyzja jaki klawisz odbiornika nacisnąć, jak zachować się, gdy na ekranie ukazały się wstępne napisy zapowiadające wielkie dzieło sztuki, gdy zabrzmia pierwsze tony muzyki — nie daje się z zewnątrz sterować. To niezbędne zapewne: nie ma pełnej kultury bez wolności wyboru; ale również potrzebne choćby wychowawczo jest istnienie systemu oddziaływań, proponowanej hierarchii wartości. Pytanie o możliwości tych oddziaływań, o skutki społeczne nowej sytuacji, wydaje się dotychczas jakby nie zauważane.

Oszolomieni sukcesami ilościowymi w zakresie upowszechniania różnego rodzaju wartości artystycznych, nie zastanawiamy się nad zmianami, jakie nastąpić muszą wskutek tego, że ów odbiorca staje się na rynku dysponentem, czy jeśli kto woli, dyktatorem, że nawet niezależnie od jego woli czy predyspozycji zmienia się także charakter konsumpcji kulturalnej. Oto choćby, jak stwierdzają socjologowie, spotkanie dzieła sztuki trudnego, wymagającego pewnego przygotowania czy szczególnej koncentracji, w nowej sytuacji psychologicznej, gdy nie działa Imperatyw jedności owego kontaktu, powoduje bardzo prostą reakcję: „To sobie odłożymy na potem”. Słęga się po coś łatwiejszego, by przy następnym podobnym zetknięciu zareagować identycznie, może nawet już bez wewnętrznych oporów i bez tłumaczenia się przed samym sobą...

Świadczy o tym choćby zmieniający się model zainteresowań: w warunkach rzadkich wyjazdów np. zagranicznych turysta uważał za zwyczajną za swój obowiązek odwiedzenie galerii obrazów, dokładne przesiedlenie osobliwości miejscowej architektury. Dziś może sobie ułożyć program wyłącznie wypoczynkowy, rajd po kawiarniach, restauracjach i wieżach widokowych, pocieszając się, że znów kiedyś tu będzie, że poznanie owych galerii ułatwią mu reprodukcje, a zabytków — film popularnonaukowy. Charakterystyczny dowód stanowi tu może powszechnie znany z codziennych kontaktów fakt lepszej znajomości przez wielu ludzi muzeów, teatrów czy zabytków miast odwiedzanych od czasu do czasu — niż podobnych, a równie interesujących instytucji kulturalnych własnego miasta.

Jeśli zresztą problematyka ta, wyjątkowo przecieć ważna dla praktycznej działalności upowszechnieniowej, dla polityki, jaką się w tym zakresie prowadzi czy prowadzić powinno, wydaje się zainteresowanie wzbudzić może publikacja naukowa, stanowiąca ważną próbę również teoretycznego uporządkowania podstawowych pojęć i wskazania na przebieg tych procesów społecznych przy wykorzystaniu pierwszych, choćby nielicznych, badań szcze-

gółowych o charakterze ankietowo-testowym. Idzie tu o pracę Marii Golaszewskiej „Odbiorca sztuki jako krytyk” (Wyd. Literackie, 1967, str. 287 + 1 nb). Jej szczególną cechą — i szczególną zaletą — jest umiarkowanie wywołania się od ciężącego na wielu pracach naukowych z zakresu humanistyki historycznego spojrzenia na podejmowaną problematykę, będącego zapewne w jakimś stopniu rezultatem tradycyjnego przyjmowania za punkt wyjścia dawniejszej literatury przedmiotu, ale przede wszystkim niepewności w poruszaniu się po gruncie zjawisk najwęższych, które poznać można tylko samodzielnie. Książka Golaszewskiej jest konsekwentnie

# Sztuka bliżej ale czy blisko?

współczesna, nie tylko w sposobie myślenia, ale też w metodzie doboru źródeł przykładów (aż do bieżących publikacji gazetowych i notatek z dyskusji publicznych i rozmów), wybiera ścieżki nawet nowe i niepewne, ale w każdym razie nie przetrarte. W rezultacie otrzymujemy żywy obraz ścierających się tendencji, wybiegający daleko poza zapowiedź tytułową, a obejmujący cały zespół stosunków odbiorcy twórcy-krytyki, obraz, którego siłę stanowi analiza zjawisk groźących spłycciem odbioru sztuki w czasach współczesnych. A że analiza ta urywa się w pewnym punkcie i że nie znaleźliśmy już jej ciągu dalszego, który byłby szczególnie interesujący, jakiegoś otwarcia perspektyw na dalszy rozwój kultury — to już nie jest zarzut, bo trudno oczekiwać, by autorka starała się być prorokiem czy publicystą. Obie te profesje, jak na naukowe gusty, zbyt blisko sąsiadują bowiem z metafizyką...

Mamy więc rozwijany krok po kroku ciąg: poglądy na sztukę, różnice między odbiorcami i krytykami zawodowym, postawy ich wobec dzieł sztuki, rozumienie przez odbiorców, oceny. Trzeba przyznać, nie jest to obraz optymistyczny ani jeśli idzie o gusty to najbardziej masowe, ani o te wyablimowane. Konsekwentna analiza estetyczna ujawnia, jak jednak skomplikowaną i trudną sprawą jest odbiór dzieła sztuki, od jak wielu czynników zależy. Oto przytoczymy odpowiedź kogoś ankietowanego w muzeum: *Podoba mi się ten portret. Ale przystojny z krótką brodą. Przyjemnie na niego popatrzeć, a więc i na ten obraz. Śmiesznie się to wydaje? Zapewne. Ale jeśli przeanalizować doznania, także te na pozór niezwykle wyrafinowane, bardzo szybko okaże się, że element owej prostej satysfakcji estetycznej występuje, nawet jeśli jest bardzo zawałowana, nawet jeśli ukryty przez bardzo efektowną argumentację, bardzo często i tam, gdzie na pierwszy rzut oka nikt go nie oczekuje.*

A w ogóle: dlaczego jedno nam się podoba a drugie nie? Praca Golaszewskiej zasługuje na wnikliwie bardzo różnorodne, podważające zaufanie do własnego, zdawałoby

się wypracowanego w miarę konsekwentnie systemu ocen. W jakiej mierze recepcja dzieł sztuki warunkowana jest przez aktualne przeżycia psychiczne, warunki ocenienia, podatność na cudze sądy? Szczególnie to ostatnie prowadzi do wniosków ważnych społecznie, i faktu wachstronności sztuki i jej substytutów wynika pewnie, psychologiczny obowiązek, szczególnie silnie występujący w naszej kulturze świata, posiadania określonych poglądów na pewne dzieła sztuki, zonglowania opiniami na ten temat i tutaj pojawia się zjawisko zapewne nie nowe, bo piętnowane już, gdyby dobrze poznać, przez artystów wieku Oświecenia, ale coraz to bardziej się nasilające: za-

poznanie się tylko z czerpanymi z różnych źródeł opiniami, zastępowanie nimi prawdziwego kontaktu ze sztuką. Film jako bryk do „Paragona”, półgodzinny spektakl telewizyjny jako namiastka lektury „Beniowskiego”, recenzja gazetowa zamiast zwiedzenia wystawy malarstwa, przegląd nowości wydawniczych zamiast lektury? I znowu pytanie: czy lepiej choć tak wypelnić obowiązki kulturalne „w naszych nerwowych czasach”, czy lepiej byłoby bez tych obowiązków?

Nie załamujmy rąk: model społeczeństwa, w którym nikogo nie kompromituje okazywanie lekceważenia dla kultury, jak to jest choćby w szerokiej kręgiach społeczeństwa amerykańskiego — to też chyba nie lepszego... A przecieć mowa tu jest stale o wyborze między możliwymi alternatywami, bo nawet przy założeniu, że realizujemy określoną politykę, że upowszechniamy oświatę i kulturę zarazem, że wygłaszamy wiele pobożnych życzeń — procesy rozwojowe bieżącej swojej ścieżki, którą poprawić można, ale zmienić, jak wykazuje praktyka, już wcale nie jest łatwo.

Czy zatem pozostaje nam stawać wiskio obserwatora — komentatora? Z rozważań Marii Golaszewskiej wynika między innymi jedna, ale bardzo ważna prawda: że odbiorca, nawet niezależnie od swojego przygotowania i wrażliwości estetycznej, przystępuje do recepcji dzieła sztuki „nasycony sobą”, a zatem widzi je poprzez pryzmat nie tylko swojej wiedzy o życiu i „temacie” sztuki, ale nawet poprzez zespół bodźców, jakie oddziaływują na niego codziennie, biegnąc modelem jego temperamentu i poglądów, uzależniając je od pozornie nieistotnych wydarzeń osobistych i społecznych. No cóż, można z tego wywnioskować dość pesymistyczne wnioski, świadczące o bezradności polityki kulturalnej, ale można także próbować leczyć nie objawy choroby, ale ich przyczyny. Wiedzieli o tym przed cybernetykami także twórcy dialektyki — co było wprawdzie dawno, ale jednak o potrzebie zastosowania nie tylko w myśleniu, ale przede wszystkim w działaniu, przypominać, jak się okazuje, wciąż warto.

Tadeusz Robak

## POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante posiada znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante honorarium nie płacimy.

Cierpliwie oczekujemy odpowiedzi na konkurs ogłoszony poprzednio w Poste Restante („Kamena” nr 8). Dostaliśmy jedną od stałej naszej czytelniczki i autorki, ale to nas nie satysfakcjonuje, jeśli impreza ma nabrać rozmachu i jeśli rubryka nasza ma nie zbankrutować. Zycielwie ustosunkowujemy się do prób naszych klientów, liczymy więc, że i oni odplacą nam taką samą monetą. Póki co poświęcamy niniejszą rubrykę poezji, która obiektem swej uwagi czyni przedstawicieli fauny. Pan L. W. z Lublina, jeden z nobilitowanych tu dawniej autorów, tak pisze:

### MALPKA

Malpka jest to piękny ssak  
Przygląda się jej ptak  
Malpka krzyczy, halasuje  
Cienkim głosem, raz basuje

Rzecz w ptaka kamieniami  
I dorodnymi orzechami  
Uderzają ciężko ptaszek  
Frunął sobie aż na daszek

Ptaszek krzyczy przerażony  
Nie ma to jak wszystkie wrony  
Wrony czarne i nie duże  
Rozpętają nieraz burzę  
Nieraz dadzą się we znaki

Bo to wrony takie ptaki

### NIEROSTROŻNE MISIE

Siedziły misie pod sosną  
Chowając miód przed osą  
Ukradkiem maczając pyski  
Bo nie mieli przecieć pyski

A że nierostrożni byli  
Brzuski sobie zaburdzili  
A osy poczuwszy miód  
Obiepiły miśmiem brzuch  
Bardzo ich one cielec  
A misie głośno krzyczeli

Na ratunek przysłała matka  
Biorąc do pomocy dziadka  
A gdy już w domu byli  
Głośno sobie tak radzili  
Trzeba zawsze czystym chodzić  
By osów na siebie nie zwozilić

Z ukontentowaniem stwierdzamy, że obok rozmaitych międzyludzkich uczuć i kontaktów przedmiotem swej poezji czynią autorzy również swoją sympatię do pożytecznych i nie tylko pożytecznych zwierzątek. Wazystkich, którzy nadesłali wierszyki o tej pierwszej sprawie, informujemy, iż na to także przyjdzie czas.

## Listy do KAMENY

### WIGILIJNY LIST HUBALCZYKÓW

Kończąc w n-rze 7 „Kamenu” cykl artykułów: „Tropem ludzi majora Hubala”, opublikowaliśmy apel do Czytelników w sprawie nadsyłania uzupełnień do poruszanego na łamach naszego pisma tematu. Jako pierwszy nadesłał do redakcji list Mieczysław Markowski z Kielce.

Szanowny Panie Redaktorze

Na marginesie poruszonego przez Pana Redaktora tematu sprawy związanych z sylwetkami „hubalczyków” pragnęlibym dorzucić jeden wymowny fragment z działalności pierwszych partyzantów na Kielecczyźnie. Nierozumienie wiąże się z osądzeniem przez „Hubala” i jego podwładnych wigilijny światek Bożego Narodzenia w 1929 roku. Zamieszczony poniżej list grupy wojskowa, zespolonych wojsk swego dotychczas, jest wyrazem przebiegłej drogi przez śmiatki, którzy nie ulegli ani przedmocy krawatego okupanta, ani nie ulegli psychologicznie strachu. Pisany on był z pewnością pod wpływem urażenia chwili do osób wyimagowanych bądź rzeczywistych. Do adresatów, a raczej adresatek, prawdopodobnie nigdy nie dotarł. Dziś, po blisko trzydziestu latach, trudno jest ustalić odbiorców, do których adresowany był ów list. Być może opublikowanie go przyczyni się do ustalenia adresatów, a za tym do poszerzenia wiedzy o codziennym życiu „hubalczyków”.

Jednocześnie wydaje mi się, iż dotychczasowa wiedza o legendarnym przywódcy — majorze Henryku Dobrzańskim — jest niepełna i wymaga nowych prac badawczych. W świetle niedawno odkrytych dokumentów, z których niezłomie wynika, iż „Hubal” zamierzał stworzyć szeroki ruch partyzancki, organizując w tym celu Okręg Bojowy Kielce, w swej strukturze organizacyjnej dzielący się na obwody, a następnie ośrodki bojowe, sylwetka H. Dobrzańskiego wymaga pewnej korekty i plus. Jak wynika z tych dokumentów „Hubal” to nie tylko „watażka”, buszujący po leśnych bezdrożach Ziemi Kieleckiej, ale jednocześnie zwoleznik na szeroką skalę rozumianej czynnej wojny wyzwoleńczej, wiążącej zity przeciwnika na froncie polskim, gdyż naród polski „Nie przestał walczyć i nie uległ najedźcy” — jak pisał „Hubal” w „Zarysie organizacji Okręgu Bojowego Kielce” z dnia 1.XII.1939 r.

Pobieżne omówienie zamiarów H. Dobrzańskiego, wynikających z dokumentów stworzonych i wstawniecznie podpisanych przez niego, stanowi oddzielny problem, wymagający szerszego potraktowania.

Oddajmy jednak głos „hubalczykom” spełniającym wigiliję w 1939 r. w Bielsku.

M. M. Kielce

„Najmilsza „Osemka”! Należę my uparte, zatwardziałe wojsko, których ciałota potęga Hitlera nie potrafiła nadstąpić i skłonić do rzucenia munduru i broni ani powstrzymać od „szarpnięcia” od czasu do czasu tej potęgi — jesteśmy prawdziwie wroczeni Wazą państwa i tymi dotychczas serdeczności, które nam od Was z Kielce nasz Kolega przysłał na Wigilię.

Cóż to była za Wigilia! Jedni z bardzo nielicznych Polaków zwyciężyli ją woli i niepodległości żadnej okupacyjnej władzy i ten kawałek Ziemi Polskiej, na którą ją święciliśmy, był skrawkiem Państwa Polskiego w całym tych dwóch tygodniach, tak drogich dla nas, znaczenia.

Dużo nas tu nie było, ale jakie dobro towarzysstwo! Był czas, kiedy całą większą jednostką wojskową zatrzymaliśmy się nad granicą wojskową, aktywnego, neutralnego państwa... Mieliśmy przed sobą tę granicę [...] i cały kraj obłąany przez wrogie wojska. Wielu — przynajmniej myśmy, że dość znaczną większość — wybrała pójście za granicę. Na mamy do nich pretensji. Wybrali według swego sumienia i to tym sumieniem uważali to za najlepsze. My jednak zwróciliśmy nasze konie w głąb tego zalesionego przez wroga kraju.

Naszym najbliższym celem była oblężona przez Niemców Warszawa. Droga była troche „niepewna [...] marsze długie i forsowne, że nieco wraz z naszymi wsternymi druhami, którymi dla nas się zaoisze konie, upadaliśmy na nogi... Przebywaliśmy rzeki, przedzieraliśmy się przez lasy, mijaliśmy nocami miasteczka i wieś jak kawałki durni, będąc wystraszonych wstępnymi aktywnością Niemców, którzy przy pomocy naszych zdrajców koni, albo po kłaję na szybki ich okien w poszukiwaniu kwater na popas. Zdumionym oczom ukazywały się konie i wściekłe postacie w rogatyżkach czupach i włosach, iżby napędzali się gwarem rozbiegającym ostróg, urwanyymi gławienkami — zwykłym żołnierskim gławieniem.

A z owych zdumionych oczu płynęły łezki, i usta nie wierzgać oczom mówiący poprzez łzy: „O Jezu, to stało to Polacy!”

Tę try i te słowa były dla nas bezcenne nagrodą za nasz trud i zechętność do służby, najcięższych i najprzykrywszych wyżyć doświadczeń.

Nie było nam jednak sądzone dotąd się do Warszawy. Spiesząc się do niej nocą doiliśmy zaledwie na dworzec, a tam, w barze km, kiedy stolicę, po krawacie i bohaterkiej obronie, padała. Ustąpiła ciężkiej koniczki i w ostatnim ułamyli nasze konie dalej na polnocy. Długo! Zrazu za granicę [...] Jankus! Potem dowiedza nasz zdecydował, że

Dokończenie na str. 11

O Brunonie Jasielskim

ANATOLA Sterna widziałem jedynie raz w życiu. Było to w 1963 r. na sesji poświęconej poezji polskiej dwudziestego wieku w Instytucie Badań Literackich...

Futurizm polski przechodził rzeczywiście losy niezwykle. Jego historia rozegrała się w zasadzie w latach 1919-1924. W latach trzydziestych ledwie już o nim pamiętano...

Można więc zrozumieć Anatola Sterna, który jeszcze w 1957 r. powtarzał i retuszował swoje wiersze futurystyczne. To była cena za możliwość ich ukazania się w ogóle...

Anatol Stern swoimi wystąpieniami i szkicami przyczynił się do tego bodaj najwięcej. Uwieńczeniem jego działalności, zmierzającej do utrwalenia zasług futurystów i odnowienia jego źródeł...

Książka to dla tej serii nietytowa. Nie jest dziełem zawodowego uczonego, pisał ją poeta i przyjaciel Jasielskiego. Eseistyczny tok książki przerywa często wspomnienie własne autora...

Bruno Jasielski był sztandarowym poetą futurystów. Układał manifesty, reformował ortografię, występował w licznych wieczorach autorskich i odczytań. Gdy pisał w "Mediatrix" "Bucie w butonierce"...

Książka Sterna obejmuje i przedstawia całość dzieła pisarskiego Jasielskiego, ukazuje też ludzkie perypetie poety. Mówi więc o powieściach Pałę Parzył i Człowiek zmienia skórę...

Na książkę Anatola Sterna można spojrzeć jeszcze inaczej: jako na wyraz serdecznej przyjaźni, która przetrwała lata. Jest to na terenie literackim zjawisko dosyć niedzisiejsze i tym godniejsze uwagi.

Anatol Stern; Bruno Jasielski. Warszawa 1969. Wiedza Powszechna.

Listy do „Kamenu”

Dokończenie ze str. 10

byłoby to zbyt przyjemne, zbyt efektywne walczyć tam, za morską i gorącą, w tej naszej czwartej, zżytej, tak blisko do ostatka, wszelkimi sposobami...

Na wojnie jak na wojnie — różnie bywa [...] ale przecież może się spotkać, my, obecni tu na tej Wilki żołnierze — partyzanci z Waszą Kochaną Osemką...

Hubal, Pomian kpt., Korab por., R. Tarnawa, Sep ppor., E. Wróblewski, Strzemiński, Morawski, Szakodziński, Zakrzewski, Kanla, Z. Urban, Galas, Klin Modest, J. Kula, Tadeusz Nawrocki Wernyhora, Sikora, Madej, Konar.

50 lat temu

STATNE misieście ubiegłego roku, związane z takimi wydarzeniami jak półwiecze odzyskania niepodległości oraz 50-lecie powstania Komunistycznej Partii Polski...

Lubelszczyzna stanowiła teren, na którym starcie koncepcji ustrojowych w formie nie tylko sporów programowych, lecz przede wszystkim instytucjonalnych, dostrzec można najwcześniej...

Taki był obraz lubelskiej wsi z początków XX w. Temu też okresowi, latom rewolucji, poświęcił swoje rozważania Albin Koprukowniak. Jakkolwiek interesują nas lata późniejsze...

O randze wystąpienia chłopów, zarówno w okresie analizowanym przez Albina Koprukowniaka, jak i w okresie późniejszym, świadczy fakt, że na Lubelszczyźnie ponad dwie trzecie mieszkańców związanych było z pracą na roli...

Klimat polityczny tamtych lat kształtowany był wieściami płynącymi z wschodu, z Rewolucyjnej Rosji. Nie bez znaczenia były wiadomości napływające z Berlina, Wiednia czy Budapesztu...

Problemy te w odniesieniu do Lubelszczyzny ujęte zostały przez Stanisława Krzykałę w pracy „Rady Delegatów na Lubelszczyźnie w latach 1918-1920”...

Autor nie poprzestaje bynajmniej na analizie działalności samych rad. Doszukując się niejako genezy roku 1918, analizuje sytuację społeczno-polityczną Lubelszczyzny w okresie pierwszej wojny światowej...

Innym zagadnieniem, omawianym przez Stanisława Krzykałę, jest powstanie lubelskiej organizacji KPRP oraz wpływ tej partii na działalność Rad Delegatów...

Trudno byłoby postawić się takim stwierdzeniem w stosunku do pracy Jerzego Danielewicz. Okres, jaki autor przedstawia, wyznaczony został latami 1918-1923. Cezura przyjęta i szeroko stosowana w odniesieniu do najnowszych dzieł Polski...

Lubelszczyźnie w latach 1918-1923, ostrożnie mówiąc, są trudno dostępne. Nawet w odniesieniu do KPRP można mówić o zmianie taktyki po III Kongresie Kominternu w r. 1921...

Wnikliwość, a jaka autor eksponuje swoje dociekania, jest godna uwagi. Jednakże przesłonięta zostaje czasem drobiazgowością ze skądś dla czytelnika całego obrazu.

Lubelszczyzna wyeksponowana została również w wyborze dokumentów zebranych przez Władysława Kuszyka, odnoszących się do lat 1918-1919. Trzeba przyznać, że dokonujący wyboru podjął się nie lada sztuki...

Ogólnie stwierdzić można, iż wymienione prace, włączając wydaną w 1955 r. książkę Tadeusza Kuźmińskiego „Walki klasowe na wsi lubelskiej w latach 1918-1919”...

Spoglądając na ten okres z pozycji regionu lubelskiego, przy jednoczesnym śledzeniu przebiegu wydarzeń w innych częściach kraju, dostrzec można elementy wspólne, charakterystyczne dla całej zbiorowości polskiej...

Mieczysław Szyszko

Roczniki Biblioteki Narodowej

KOMÓRKI tej wielkiej i ważnej w naszym kulturalnym życiu sieci składają się na piramidę, której bazyliki tworzą punkty biblioteczne w najbardziej nawet zapadłych miejscowościach...

Swe skomplikowane zadania czołowego strażnika książki w Polsce, a zarazem wzorca i gwaranta kultury bibliotecznej, pełni Biblioteka Narodowa z godnym spokojem, a nawet z pełną umiaru dyskrecją...

Do młodych stosunkowo inicjatyw należy od lat kilku edycja „Roczników Biblioteki Narodowej”. W założeniach wydawcy publikacja ma nie tylko informować o pracy instytucji...

liczne, by nie powiedzieć: wszystkie — dziedzinie życia, ten nurt działalności Biblioteki Narodowej ukazuje nam swą szczególną doniosłość.

Nakład publikacji nie jest wielki, wynosi zaledwie 600 egz., rocznik nie ma zatem szans dotrzeć do mniejszych bibliotek. Ważne jest jednak zarówno dla bibliotekarskiego świata, jak też dla wszystkich zainteresowanych sprawami książki...

W ostatnim czasie ukazał się piąty już rocznik. Przeglądając cały dotychczasowy plan wydawniczy tej serii uderza bogactwo zainteresowań. Nie jest to zwrot zdawkowy. Tegoroczny ponad trzydziesturoczny tom dużej formatu przynosi 15 rozpraw i szkiców...

W ostatnim czasie ukazał się piąty już rocznik. Przeglądając cały dotychczasowy plan wydawniczy tej serii uderza bogactwo zainteresowań. Nie jest to zwrot zdawkowy. Tegoroczny ponad trzydziesturoczny tom dużej formatu przynosi 15 rozpraw i szkiców...

I wreszcie — to, co najważniejsze: czołowa postać Doktora. Odtwarzając ją Aleksander Aleksy, mimo jubileuszowej tremy, wykazał się swym mistrzostwem szczególnie w tragicznym akcie III, który korekty scenicznej nie wymaga.

Miejmy nadzieję, że p. profesor M. Wiercińska zechce jeszcze niebawem popracować z utalentowaną młodzieżą aktorską Teatru Osterwy — w sztuce, którą wybierze sama.

Maria Bechzyce-Rudnicka

archiwach do dzieł w języku polskiej doby zaborów. Szerzej prac zajmują się dziełami polskiego czasopiśmiennictwa, jak np. pierwszymi polskimi piśmiennictwami „Zaranki” i „Słowo”...

Wydawnictwo wskazuje się bez rozgłosu, lecz każda z nich styczeński budzi zaufanie dla solidności opracowań, zaś szeroki program redakcyjny — szacunek dla roli, której podjęła się naczelna biblioteka kraju w trosce o podniesienie rangi pracy bibliotekarskiej.

Wydawnictwo wskazuje się bez rozgłosu, lecz każda z nich styczeński budzi zaufanie dla solidności opracowań, zaś szeroki program redakcyjny — szacunek dla roli, której podjęła się naczelna biblioteka kraju...

(LP)

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego...

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Alje Raefawickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unieka 4. Adres redakcji: Lublin, ul. Narutowicza 35. Telefon: sekretariat i naczelny redaktor 255-92, sekretarz redakcji i dział bibliograficzny 275-35.

Korespondencję swyjką prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecenia i ekspresy — pod adresem redakcji.

Zam. 1916, 22.IV.69. F-4.

Kamena str. 11

Broniąc Doktora...

Dokończenie ze str. 8

trze im. J. Osterwy w r. 1938 „Intryga i miłość”, spektakl ten cieszył się wielkim sukcesem. Należy oczekiwać, że i przedstawienie „Małego domku”, gdy wroci z objazdów na afisz w Lublinie, powita ją szczerze oklaski publiczności.

klowski (Notariusz), Jadwiga Janczewska (Notariuszowa), Barbara Wronowska (Kasia — bardzo udana w swym autentycznym, oraz Maciej Polaski i Adela Zgrzybiowska (Sędziowa — para, która miała sporo do powiedzenia i uczyniła to zgodnie z intencjami Bittnera).

Ciekawa jest w wykonaniu Zofii Stefańskiej Wanda, ta kuryka, którą autorytet i energia Doktora zafascynowały aż do gotowości niemal zaprzeczającej własnej szansy życiowej. Z bycho szczeniaki, w roli inżyniera Jurkiewicza, gra według woli autora, sezonowego kochanka pływaka i tchórzliwego. Postacie drugoplanowe prezentowali nienagannie: Leśnik Paczyński (robotnik szymon), Piotr Suchara (promwizor Kosicki), Roman Kruczy...

## Z ŻYCIA WZIĘTE

# Stawka i życie

**Z**LE się stało, że dyskusja na temat „Stawki większej niż życie” miała tak krótkie życie. Stawka okazała się istotnie bardzo duża. Po raz pierwszy po wojnie stworzona została szansa zaproszenia młodzieży (i nie tylko młodzieży) postaci bohatera naszych czasów, bohatera, który byłby nie tylko nieustraszony, niepokonany i nieuchwytny, ale jak najbardziej polski, to znaczy taki, którego portret miałby rysy tych wszystkich, którzy walcząc o wolność kraju walczyli o Polskę niepodległą, ale zarazem sprawiedliwą.

Kłoss był bliski celu. Mógł stać się bohaterem pokolenia, które nie widziało już wojny, ale mu-

si ją poznać, żeby znać cenę swego życia. Mógł to zrobić, gdyby jego twórcy dostrzegli tę szansę. Niedawno w telewizyjnym „Monitorze” wystąpił berliński korespondent TV i poinformował nas, że „Stawka większa niż życie” trafiła na ekrany telewizji NRD. Oczywiście, z wielkim powodzeniem. Podobno „Stawka” ogląda się z zainteresowaniem także w Berlinie zachodnim. Komentując ten fakt gość „Monitora” podkreślił, że słyszał opinie, uznające Kłossza za najprzystojniejszego oficera Wehrmachtu.

Trudno powiedzieć, aby Mikulski nie był przystojny. Bohaterowie serialów muszą być przystojni. Ale autorzy „Stawki” zapomnieli, że ten czar osobisty może zrosnąć się z mundurami Wehrmachtu. Kłoss musiał występować w tym mundurze. Niestety, w żadnym odcinku „Stawki” nie znalazłono okazji do podkreślenia, że ten mundur ciąży bohaterowi, że to jest nie jego mundur, że go nosi z konieczności, że jest to mundur wroga. Tymczasem Kłoss nie tylko tego nie zrobił, ale od czasu do czasu podkreślał, że jest niemieckim oficerem. Wydaje mi się, że było to niedopatrzenie, może błąk wybrał się szkoda, bo spowodowało to okaleczenie obrazu bohatera, odebrało mu szansę prawdziwej popularności.

Może nie wracalbym do tego tematu, ale spotkałem się ze zjawiskiem, które potwierdza obawy

tych wszystkich, którzy wskazywali na niebezpieczeństwo wyposażenia politycznego bohatera w niepozycyjny sprzęt i ubiór. Oto na ulicach wielu naszych miast pojawił się nowy towar. Znałedli się cwaniacy, którzy zaczęli masowo produkować podobny Kłoss, oczywiście w niemieckim mundurze, i sprzedawać je po 10 zł za sztukę. Trudno winić pokatnych producentów, że chcą wykorzystywać okazję. Trudno mieć do nich pretensje, że produkują Kłossa w wehrmachtowskim uniformie. Stało się, Kłoss nie wytworzył granicy między sobą a mundurem, którego musiał używać. Albo inaczej; Kłossowi nie dano okazji, by swoją osobę złączył trwale z polskim mundurem. Zaprzęszczenie okazji spopularyzowania bohatera w taki sposób, aby wywołał maksimum korzyści moralnych i psychologicznych.

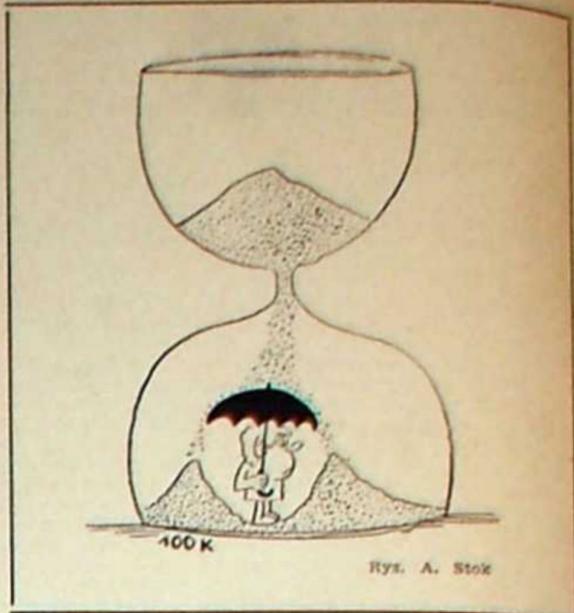
W ogóle z reklamą, z tą dobrą i złą, z reklamą, kształtującą psychikę, nie jest u nas dobrze. Wśród młodzieży bardzo popularne jest zbieractwo wszelkiego rodzaju modeli — samochodów, samolotów, kolekcjonowanie proporzyczków i odznak. Nie trzeba podkreślać, jakie znaczenie dla utrwalenia sądów młodych ludzi mają małe przedmiociki, stojące na półkach i stolikach, wiszące na ścianie. Od lat nasz rynek zasypywany jest produktami na Zachodzie modelami wojskowych samolotów takich państw, jak USA, Anglia czy Francja. Młodzież kupuje je po wysokiej

stosunkowo cenie. Stojąc na półkach czy wisząc na ścianach, modele te spełniają jednocześnie niezbyt pozytywnie w naszych warunkach funkcje popularyzują produkowany przeciw nam sprzęt. Tymczasem na naszym rynku zabawkarckim modele te nie mają konkurencji, ponieważ nikt nie produkuje modeli naszych samolotów, czy naszych okrętów. Podobnie jest z wszelkiego rodzaju znaczkami i proporzyczkami. Bez wyobrazni.

Bardzo popularne wśród młodzieży jest noszenie na marynarkach herbów miast i godła krajów. Widziałem już godła wielu krajów. Ale tylko zachodnich. Dlaczego tak skorzy do kopiowania Hauptmanna Kłoss na wytwórcy nie wypuszczają serii podobnych godła państw socjalistycznych? Albo herbów znanych miast w tych krajach?

Ostatnio, zdaje się z inicjatywy którejś organizacji muzycznej coś się na tym odcinku zmieniło. Ni stąd ni zowąd na bluzkach młodych ludzi pojawiły się tabliczki z głupawymi tekstami angielskimi. I love you! Kiss me... W jakimś piśmie ukazał się ostry felieton wysławiający nową modę młodzieżową. I nagłe niespodzianka. W kłopotach marynarek wielu młodych chłopców pojawiły się takie same tabliczki, ale z polskimi tekstami. Jeden z nich bardzo mi się spodobał. Brzmi on: NO TO CO.

BAR



Rys. A. Stok

## NOTY i notki

**JULIAN PRZYBOS** w swojej recenzji z „Maleńkiej złoty szubienicy”, („Życie Warszawy” nr 99) zaproponował autorowi tego zbioru felietonów — Hamiltonowi — aby się odmłodził. Przybos twierdzi, że ze skrzyżowania brody konserwatywy (jakim rzekomo jest Hamilton) z lokami bitlesa (jakim mógłby być np. Stojewski) „ileż trysnęłoby iskier nowego, niebawymego humoru i rozweselonej czarnej desperacji”. Osobiście wcale tego nie jestem pewien. Przedwojenne próby niejakiego Woronowa zakończyły się fiaskiem (może dlatego, że chodziło o tzw. witalność), zaś współczesne przeszczerpienia zajmują się stresem, okiem, nerką czy wątroba, nie zaś ironią i śmiechem.

**MAGDALENA SAMOZWANIEC** wiodocznie mieszka w domu pozbawionym windy. W felietonie „Ich dwoje w windzie” („Szpilki” nr 17) napisała bowiem: „Winda stała na dole, mijając czerwoną oczkiem żarówczki”. Po pierwsze: gdy winda stoi na dole, żaróweczka gaśnie. Po drugie: nigdy nie miga, nawet do zakochanej pary. Tak więc jedna z point felietonu mignęła nieprawdą i zgasła.

**ALE JESZCZE GORZEJ** powiedli się Michałowi Radgowskiemu, który pisuje felietony do „Polityki”, na wszelki wypadek opatrzyć je nagłówkiem „Zamiast felietonu”. Niezmiernie zdziwiło mnie stwierdzenie z nr 17 teże „Polityki”, na którym opiera się cały dalszy wywód tego zamiast-felietonu: „Pewien człowiek zachorował na nierobstwo. Opisu tej choroby nie znajdujemy we współczesnych słownikach medycznych, ale ostatecznie nasze życie wzbogaca się o wciąż nowe zjawiska, a więc i o nowe choroby”. Nierobstwo jest stare jak świat po potopie, bo i praniec Noe w nim gustował. Przypisywanie narodzin tej choroby czasom najbardziej współczesnym odczuciem — chyba nie tylko ja — jako insynuację.

**ZAROŁO SIĘ OSTATNIO** w naszej prasie od reportażu, a raczej opisu podróży po radzieckiej Armenii. Kraj rzeczywiście piękny, o bardzo starej kulturze i nowoczesnej cywilizacji, ludzie interesujący. Ale fakt, że kraj daleki i egzotyczny, nie usprawiedliwia pisanja banalów. W „Głosie Nauczycielskim” (nr 17) Maria Hajdul czyni takie np. zdumiewające odkrycie o jeziorze Sewan: „Jezioro o barwie... i głębokości... okolone wpadającymi do niego górami, można objechać dookoła”. Dla ścisłości: objechać nie można żadnym pojazdem, można tylko opłynąć. I to nie jest odkryciem. A wpadają do niego nie góry, ale 30 rzek. Ani słowa natomiast o największej w świecie hodowli psstrągów, podziemnej elektrowni pod jeziorzem, z której woda płynie rurami do samego Erewana, napędzając „po drodze” kilka innych elektrowni. No cóż — nie wystarczy pójchać...

**ZDUMIEWAJĄCA WIADOMOŚĆ** — i to na pierwszej stronie — przyniósł „Kurier Lubelski” w nr 98: w woj. lubelskim żyje podobno 1 410 000 jeleni (chodzi o zwierzyne). Z prostego przeliczenia wynika, że na każdego mieszkańca województwa, licząc w tym oeski, przypada 0,33 jelenia, a dla niektórych pozostają tylko kory.

**MIESIĘCZNIK „NASZ KLUB”** zamieścił w nr 4 test, który ma dać odpowiedź na pytanie „Czy nadajesz się do małżeństwa?”. Jak się okazuje z punktacją, idealnie na kandydata na małżonka jest mężczyzna, który m. in.: 1) chętnie plotkuje z fryzjerem, 2) ma wyraźnie wąskie wargi, 3) uważa wszystkie kobiety za fałszywe, 4) często miewa zgagę. Jeżeli chodzi o kobiety, to mniej nadaje się na żonę taka, która „dopiero pod wieczór tryska energią i chęcią życia” co jest dowrodwy dziwne, i to wszystko rozpowszechnia się w czasopiśmie, które ma być podstawową lekturą młodzieży w klubach „Ruchu”.

JOD

## ANKIETA

### Konkursu „Lubelszczyzna w 25-leciu”

Zamieszczona ankieta wiąże się z konkursem czytelnictwa dla kobiet „Lubelszczyzna w 25-leciu”, zorganizowanym przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. H. Łopacińskiego wraz z Wojewódzkim Zarządem Ligi Kobiet, „Kamena” i szeregiem innych instytucji. Warunki tego konkursu opublikowaliśmy w nr 3 „Kamena”. Zainteresowane czytelniczki powinny składać wypełnione ankiety w odpowiednich sekretariatach, znajdujących się na ogół w bibliotekach publicznych, do końca maja br.

1. Które pozycje z konkursowego zestawu lektur wybrała Pani do przeczytania?
2. Jakie problemy w przeczytanej lekturze zainteresowały Panią najbardziej?
3. Jakie osiągnięcia powiatu (miasta), na którego terenie Pani mieszka, omawiane w prasie uważa Pani za najważniejsze?
4. Czy brała Pani udział w spotkaniach, prelekcjach i imprezach związanych z konkursem „Lubelszczyzna w 25-leciu” i w jakich?
5. Na jakie tematy dotyczące Lubelszczyzny należałoby więcej pisać?
6. Jakie postulaty dotyczące rozwoju Lubelszczyzny zgłosiłaby Pani pod adresem nowych rad narodowych?

Nazwisko i imię \_\_\_\_\_  
Wiek \_\_\_\_\_ Zawód \_\_\_\_\_  
Adres \_\_\_\_\_

## MINUTA MYŚLENIA

# Nie szumią „Świerki” nam

**Z**UPELNE nie wiem dlaczego — mając do dyspozycji tych kilka linijek druku — nie skorzystałem z okazji, by wyrazić swoje przywiązanie do miasta, w którym spędziłem prawie pół wieku. Pytanie to układowa mi lektura książki Olgierda Czerniewicza „Świerki jak cyprysy”, wydanej przez Wydawnictwo Lubelskie, z piękną obwolutą Henryka Szulca. Książka ta właśnie, con amore, ewokuje czas przeszły dziecięcy

autora, a czyni to na kanwie panoramy dawnego Lublina.

Nie bez zasadniczego ale. Otóż ta kanwa to prawie wyłącznie ośiem reprodukcji fotograficznych, jak zwykle w wypadku fotografii wiernie oddających przedmiot — a prawie wcale tekst, którego jest 236 stron. Jeśli w sformułowaniu tym zawarłem uczucie rozczarowania, to przyczyniła się do tego informacja na skrzydełku obwoluty, gdzie jest powiedziane, że w książce spotkam „garść wspomnień związanych z Lublinem i jego klimatem w okresie międzywojennym”. Klimatu nie znalazłem. Znalazłem coś w rodzaju kroniki rodzinnego autora, spisaną z wielkim pietyzmem dla ciotek, kur i pogrzebów, które to pokrewieństwa, okazy domowego inwentarza i wydarzenia „związane” są nie wyłącznie z miastem mającym koźła w herbie. Tak więc lubelską retrospekcję mogłem przeprowadzić za pośrednictwem samych fotografii.

Towarzystwo Miłośników Lublina? Zapisalbym się chętnie, ale tam pomoc rozprawia się ze znaną tomasz historyczki sztuki i w ogóle historii, a ja na wspomnienie artykułów henrykajskich i paktów conwentów do dziś dostaję

gęsiej skórki. Takoz z moją znajomością renesansu, empire'u i secesji spokojnie mogę pozostać przy własnym indywidualum, nie zabiegając o zaszczyt stanowienia cząstki w ciele kolegielajnym.

A jednak mam swoje własne perfectum Lublina. Pamiętam uliczne gazowe latarnie, otwierane z zapalaniem za pomocą długiej kijki przez dozorców, obowiązkowo w butach z cholewami i ozłozystym wąsem. Pamiętam tychże latarni lunatyczny blask niezłody rozproszył ciemności, ale też nie do pochłonięcia przez najrozlewniejsze flukty nocy. Pamiętam wieżę ciśnień na Placu Bernardyńskim (dziś Wolności), przy której sakramentalnie stało zawsze parę furmanek nie wiadomo: w celach targowych, czy w popasie przed nużącą podróżą. A te latarnie w miejscach, gdzie dziś istnieją, czy tworzy się ronda! A... a Krakowskie Przedmieście wybrukowane kocimi łbami! Dziś jeszcze mogę wskazać miejsce kilku sodówek (sklepek w branży nie wiadomo dlaczego obecnie skasowanej), gdzie kupowało się czarodziejską czekoladę „Anglas”. Czarodziejską przez łeb tygrysa, czy dziób kondora, które wyskakowały z

wetkniętego pod opakowanie kolorowego obrazka.

Popatrzcie na tę fotografię z Krakowskim Przedmieściem: na około kilometrowym odcinku jezdni (!) widać tylko osiem postaci ludzkich i jedną dorozkę. Słup telegraficzny z pasmami drutów. Ale co tam słup. Słup był i jest. Po wojnie. Jeszcze! Jak wyobrazić sobie możliwość powrotu tych widoków w czasie, kiedy na przejście przez jezdnię trzeba wyzekać mrugnieniami zionącego światła, a później precyzyknie się przez dwie tasujące się na jezdni grupy przechodniów?

Właśnie owe „Świerki jak cyprysy” powinny o tym zaszumieć. Przynieść coś z dawnego Lublina, nie ograniczać filozoficznej retrospekcji do zapachu ciotczych płaczków, acz i z nich dalaoby się wysnuć swą melancholijnie uśmiechniętą pożytkę czasu przeszłego. Nie zasumiwały, nie przyniosły.

To mnie jednak nie zraża. Jeszcze gdzieś na Kosminku, na Dolnej Panny Marli, na Krochmalnej znajdzie bodaj framugę okienną, w której, jak w fotoplastikonie, ujrzę fin de siecle Mostku Miasta.

Ijon

## FELIETON Z REZERWY

# Zazdrościłem przed...bigosem

**B**YLA to moja trzecia podróże po NRD. Tym razem trwała dni dziesięć. Zwiedziłem Berlin, Dreżno i Budziszyn — stolicę Serbów Łużyckich. Udało mi się zebrać sporo interesujących materiałów, którymi podzielić się z czytelnikami „Kamena” w następnych numerach naszego pisma. Zanim to nastąpi — garść drobnych spostrzeżeń.

Może miałem wyjątkowe szczęście, ale w ciągu tych dziesięciu dni nie spotkałem ani jednego, dosłownie — ani jednego, mężczyzny, który choć trochę chwiał

był się na nogach. A przecież w NRD nie ma żadnych ograniczeń w konsumpcji alkoholu. Wódkę sprzedaje się nawet w sklepach spożywczych znajdujących się na dworcach kolejowych! Wśród baterii butelek jest i nasza eksportowa po 14 marek za pół litra.

Ale w restauracji, gdy poproszę o kieliszek wódki, przyniosą ci 20 gramów. Taka tu jest podstawa „norma”. Sprytnie urządzone są niektóre bary szybkiej obsługi. Wchodząc i otrzymując skrawek papieru, na którym widnieją różne liczby: 5, 10, 20, 50 fenigów, 1, 2, 3, 4, 5 marek. Bierzysz jakaś porzawę i sprzedawczyń dziurkuje ci kartkę w odpowiednim miejscu. Przy następnym stosiku prosisz np. o kompot czy kawę, operacja dziurkowania powtarza się. Teraz możesz spokojnie zjeść (danie nie wystygnie, bo nie musiałeś stać w kolejce do kasy), zapłacić przy wyjściu wręczając podziurkowany papier.

Gwoli uczciwości muszę dodać, że kuchnia niemiecka mnie nie zachwyca. Zupełnie nie mogły mi trafić do przekonania zimne kartofle polane jakimś sosem czy też mikroskopijne porcje zwykłe tych samych zup. W lokalach pierwszej kategorii są niezmiernie pożyteczne: zupa pomidorowa, rosół i solanka. Zwykle zupy te podają w filiżankach: cena waha się od 50 fenigów do 2 marek. Nie jest to tak tanio.

W restauracjach nie ma jednak tłoku. W Dreżnie wpadłem wieczorem do nocnego lokalu. Wstęp kosztował — nie pamiętam

już dokładnie — 2 czy 3 marki. Do tego doszła opłata za szatnię — 20 fenigów (oczywiście dostalem pokwitowanie na te sume). Ogromna sala, w niej kilkadziesiąt stolików, większość jednak świeciła pustkami. Przy kilku siedziały same panie. Orkiestra grała z krótkimi przerwami, tańce należały jednak do tradycyjnych. Bodaj raz tylko grano twista, wszyscy tańczyli go krokiem fokstróta.

Ale w NRD — przynajmniej w tych miastach, które teraz widziałem — nie można narzekać na małą liczbę restauracji. Budziszyn jest np. miastem powiatowym, liczącym około 40 tysięcy mieszkańców, ale znajduje się tu na pewno więcej lokali gastronomicznych niż w Lublinie. Są one otwarte w różnych godzinach (niektóre raz czy dwa razy w tygodniu nie pracują) i zjedzenie kolacji (bez żadnych narzutów!) nawet o godzinie 23.30 nie stanowi żadnego problemu. W Lublinie — myślałem — o tej porze można tylko błagać o wpuszczenie do „Europy” czy „Powszechniej”. Jeśli, rzecz jasna, kieszkać to pozwala.

Sklepy spożywcze są na ogół dobrze zaopatrzone i nie ma w nich tłoku. Można spotkać dużo konserw importowanych z Rumunii i Bulgarii. Widziałem polski sok pomidorowy. Brakuje natomiast sardynek (uwaga dla „turystów” z Polski).

Kilka słów o komunikacji. W Dreżnie z trudem zdobyłem wolny pokój w motelu zbudowanym już niemal poza miastem. Do cen-

trum jeździłem autobusem placąc po 20 fenigów za kurs. Celowo użyłem określenia kurs a nie bilet. Do autobusu wchodzi się przednim wejściem. Kto ma bilet miesięczny, okazuje go kierowcy (w tramwajach — współpasażerom), kto nie ma — wrzuca do skrzyneczki-skarbonki 20 fenigów lub bon na 20 fenigów. Skarbonka znajduje się tuż obok szofera. Zadnego biletu się nie o trzymuje, nie ma więc i żadnych kontroli.

Taksówki, co zawsze mnie dziwiło, kursują bez liczników. Kierowca odnotowuje każdą jazdę i potem, obliczając przejechane kilometry, mówi, ile należy zapłacić. Dlaczego nie ma liczników — pytałem kilkakrotnie. Padła niezmienna odpowiedź: w NRD nie produkuje się liczników i nie sprowadza się ich z zagranicy. Najwidoczniej obywa się bez konfliktów między pasażerami a kierowcami.

Z taksówek, na szczęście, nie musiałem zbyt często korzystać. Autobusy, tramwaje (a w Berlinie koleje podziemna i naziemna) kursują całą dobę ściśle według rozkładu. Nie zdarzyło mi się, aby jakiś autobus, nawet po północy, nie przybył o oznaczonym czasie czy też się spóźnił. Tego mogłem Niemcom szczerze zazdrościć.

Zazdrościłem jeszcze wczoraj, gdy pół godziny czekałem w Lublinie na zatłoczoną „dziwiałkę”. Ale gdy przyszedłem do domu i skonsultowałem solidną porcję polskiego bigosu, uczucie zazdrości minęło w oka mgnieniu!

MAJ

## Odpowiedzi redakcji

**M. K. w Rakowie.** Mamy wątpliwości, czy to faktycznie utwór Odyńca. Wprawdzie temu autorowi zdarzały się na starość różne smutne „wycieczki” literackie, ale trudno przypuścić, by w r. 1924, kiedy rzekomo utwór powstał i kiedy Odyńca był młody, mógł on napisać tekst tak słaby — nawet w obrębie przyjętej historycznie konwencji poetyckiej. Ponadto Odyńca (zawazca?) podpisywał swoje rękopisy: A. E. Od., nie zaś E. Od. Przypominamy też, że nie o ile jest autorem „Pieśni Filaretów”. W sumie — te wszystkie wątpliwości mogłoby nam wyjaśnić przysłanie przez Pana rękopisu, jeśli oczywiście zdołabymy Pańskie zaufanie. Bez oryginału nie zrobił się nie da w sprawie publikacji.

**„Zorza” w Szczepieszynie.** Niestety, nie mamy dla Pani dobrych wiadomości, aczkolwiek nikt z redakcji nie wątpi, iż przeżywa Pani szczerze i głęboko swoje wewnętrzne rozterki. Tylko że formuła poetycka, którą im Pani nadaje, nawleżuje do nieznośnej dla dzisiejszego czytelnika konwencji młodopolskiej. Jesteśmy pewni, iż faktycznie odczuwa Pani świat o wiele ciekawiej, ale nie zawsze jest dobrze ze znalezieniem odpowiedniego słowa dla rzeczy. A gdyby tak sięgnąć po współczesną poezję i tam szukać rozładowania własnych napięć psychicznych?

**H. K. w Ostrowcu.** Podejrzewamy, iż jest Pani kobietą nie tyle młodą, bo takie są wszystkie kobiety, ile bardzo młodą. Wniosek nasz stąd, że w poezji Pani znać brak głębszych doświadczeń wewnętrznych, czyli tzw. przemysłów. Może zresztą to się nie wiąże z wiekiem, lecz z życiem bestroskim. Musi Pani trochę pocierpieć, trochę się pomartwić, a wtedy i materiał psychologiczny dla literatury wypracuje Pani na własny użytek. Później trzeba będzie z koleś martwić się, by

## Współredaguj z nami „Kamena”

W poprzednim numerze zamieściliśmy pod tym hasłem ankietę. Ponieważ zależy nam na otrzymaniu jak największej ilości odpowiedzi, ankietę zamieścimy powtórnie w następnym numerze „Kamena”.